

JERRY AHERN

PLONĄCA ZIEMIA

KRUCJATA 9

PRZEŁOŻYŁ: PIOTR SKURZYŃSKI

JERRY AHERN

PŁONAĆCA ZIEMIA

KRUCJATA 9

PRZEŁOŻYŁ: PIOTR SKURZYŃSKI

Dla żony Sharon (nie mylić z Sarah), dla Jasona, Michaela oraz Samantha Ann Ahernów... Dla wszystkich, których zawsze kochałem...

Rozdział I

Reed, nie czekając, aż jeep zatrzyma się na dobre, otworzył drzwiczki i wyskoczył na chodnik, wołając do kierowcy:

– Wracaj pędem do sztabu i powiedz tym dupkom, aby jak najszybciej wprowadzili w życie plan obrony numer trzy.

– Tak, panie pułkowniku, ale...

– Żadnych „ale”, ruszaj!

– A co będzie z panem?

– Już ja załatwię sobie jakiś środek transportu. Teraz zjeżdżajcie, kapralu.

– Tak, sir! – zawołał żołnierz, lecz jego słowa już nie dotarły do pułkownika Reeda biegnącego w stronę budynków byłej szkoły wyższej, zamienionej obecnie na szpital polowy. Wysokie schody, typowe dla wielkich gmachów stanów zachodnich, pokonał w trzech susach. Stojący przy drzwiach strażnik wyprostował się jak struna, prezentując broń.

– Zapomnijcie o tym, żołnierzu! Lećcie do kwatermistrza i powiedzcie mu, że zgodnie z planem obrony numer trzy ewakuujemy szpital.

Reed, nie czekając na odpowiedź, minął wartownika i wybiegł na dziedziniec, chcąc dostać się do bloku C, gdzie dawniej były pracownie, a obecnie oddział kobiecy. Skrajem dziedzińca szedł młody pielęgniarz, popychając przed sobą wózek z butlami tlenowymi.

– Człowieku, ewakuacja! – zawołał pułkownik. – Za parę minut pojawią się nad nami Sowieci! Przygotujcie pacjentów do drogi!

Oficer wbiegł do budynku, ślizgając się na wypolerowanej posadzce korytarza. Ujrzał wpatrującą się w niego pielęgniarkę, ubraną w za duży dla niej wykrochmalony fartuch.

– Siostro, przygotujcie pacjentów. Musimy stąd zwiewać, nadlatują Rosjanie!

Przemknął obok oniemiałej kobiety i wpadł do jednej z sal. W niewielkim pomieszczeniu było dość miejsca na trzy łóżka, ale stało tylko jedno. Leżąca na nim posiwiała kobieta przypominała bardziej woskową figurę niż żywego człowieka. Do lewego przedramienia miała przymocowaną kroplówkę. Na skraju posłania siedział siwy starszy mężczyzna o nieruchomej twarzy, otwartych ustach i załzawionych oczach, z których wyzierał ogromny ból. Na widok wchodzącego Reeda wstał, odzywając się nieprzytomnym głosem:

– Pan pułkownik? Oficer zasalutował.

– Pułkowniku Rubenstein, lada chwila spodziewamy się nalotu Rosjan. Nie mamy zbyt wiele czasu. Musimy przewieźć pańską żonę w bezpieczniejsze miejsce.

W oczach mężczyzny zabłysła złość.

– To nie twoja sprawa, Reed. Zajmij się ewakuacją, ja jestem jedynie emerytowanym oficerem lotnictwa. Zabierz innych pacjentów, ale moja żona zostanie tu wraz ze mną. Nie możemy jej stąd zabierać.

– Pułkowniku, oni nadlatują...

– Dobrze wiem, co robię, Reed. Ona nie może być przewieziona. To by jedynie skróciło jej życie, okradło ją z tych paru godzin, jakie pozostały... Moja żona umiera i wie o tym. Jeśli Rosjanie nadlecą, to umrzemy oboje.

Reed potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Nie może pan tego uczynić. A co z pańskim synem...?

– Paul to zrozumie.

– Nie! Gdybym ja był na jego miejscu, nigdy bym nie zrozumiał. Pański syn i pana stanowisko zobowiązują pana do życia, pułkowniku. Pańska żona sama by o tym panu przypomniała, gdyby tylko...

– Wystarczy, Reed! – Przerwał stanowczo Rubenstein. – Wynoś się stąd i zostaw matkę Paula. Niech umrze w spokoju!

Oficer zacisnął pięści w bezsilnej złości, odwrócił się i wyszedł bez słowa. Idąc przez korytarz, wytarł dłonią łzy, które niespodziewanie napłynęły mu do oczu. Jego matka także umarła na raka i też nic nie mógł poradzić.

– A niech to diabli! – Uderzył pięścią w ścianę. Przejmujący ból przeszył kości dłoni.

Wyszedłszy na dziedziniec, usłyszał dudniący w głośnikach głos szpitalnego administratora, nakazującego natychmiastową ewakuację. Przynajmniej jedno jego zadanie zostało spełnione należycie!

Reed, wiedząc, że pani Rubenstein choruje na raka kości, z trudem pogodził się z myślą o jej rychłej śmierci. Ale że miał umrzeć jej mąż, a jego najlepszy przyjaciel... Tego nie potrafił zrozumieć, nie umiał tego przyjąć do wiadomości!

Wyprzedzając wyprowadzanych pacjentów, doszedł do ulicy. Przed schodami stały już cztery wielkie ciężarówki, na których tłoczyli się przerażeni chorzy i ranni.

Oficer spojrział na zegarek. W każdej chwili mogli pojawić się Rosjanie. Dlaczego ciężarówki jeszcze nie odjeżdżają?

Wreszcie ruszyły.

Przez warkot motorów i gwar rozmów szpitalnego personelu przedarło się metaliczne buczenie. Reed wyciągnął z chlebaka lornetkę i skierował ją na północny wschód. Z tej odległości wielkie śmigłowce bojowe wyglądały jak ociążale brzęczące owady, jak ciemna metalowa szarańcza, gotowa pożreć wszystko, co jeszcze żyje. Naliczył ich siedemnaście.

Przymknął oczy i pomyślał o swoim przyjacielu, pułkowniku Rubensteinie. Staruszek miał szansę wydostania się stąd, ale z niej nie skorzystał. Reed mógł to zrozumieć, chociaż wolałby, aby Rubenstein zadbał o swoje bezpieczeństwo.

Przygładził dłonią rozwiane włosy i ponownie spojrział na nadlatujące helikoptery.

– Niech Bóg strąci was wszystkich na dno piekła! – mruknął pułkownik, lecz wątpił, czy piekło okazałoby się gorsze niż ta cała cholerna wojna.

Rozdział II

Stojący obok profesora Złowskiego pułkownik Roźdiestwieński zapalił papierosa, mimo iż wyraźnie widział tablice z zakazem palenia, wiszące na każdej ścianie laboratorium. Czasami pułkownik sprawiał wrażenie, że należy do tego gatunku ludzi, którzy natychmiast muszą sięgnąć po każdy zakazany owoc.

Roźdiestwieński pochylił się nad szklaną płytą zakrywającą kriogeniczną komorę, uważnie wpatrując się w skłębione opary gazu, błyszczące niebieskawą poświatą. Niebieskawą tak jak wczesny świt... „Tak – pomyślał – to może być świt nowej ery...” Dla jego ludzi!

O ile człowiek znajdujący się w komorze przeżyje.

Roźdiestwieński spojrział na Złowskiego i zauważył, że naukowcowi dłonie drżą z emocji.

– Towarzyszu profesorze, kiedy się wszystkiego dowiemy?

– Najważniejszą odpowiedź powinniśmy poznać za kilkanaście sekund, towarzyszu pułkowniku.

Oficer skinął głową i ponownie zwrócił wzrok na komorę. Rosyjscy naukowcy zbudowali ją w oparciu o fragmenty dwunastu podobnych komór amerykańskich, wydobytych z ruin Centrum Kosmicznego w Johnson. Można by rzec żartobliwie, że urządzenie to skonstruowano na „amerykańskiej licencji”, i to takiej, za którą nic nie trzeba było płacić.

Wewnątrz najeżonego czujnikami pojemnika spoczywało ciało kaprała Wasyla Gurienki, ochotnika, który dobrowolnie zgłosił chęć udziału w ryzykownym eksperymencie.

– Kapralu? – zawołał niespodziewanie Roźdiestwieński. – Żyjecie?! Wasyl?!

W oparach gazu coś się poruszyło.

– To nie musi być świadoma reakcja, towarzyszu pułkowniku – przestrzegł Złowski. – To mógł być zwykły odruch warunkowy na wasz głos.

– Poruszył się świadomie czy nie – to nieistotne. On żyje! – powiedział wyraźnie podekscytowany oficer. – Wasyl!!

– Ależ, towarzyszu pułkowniku... – Wasyl!

Błękitny obłok zafalował i wyłoniło się z niego ciało młodego mężczyzny. Kapral Gurienko usiadł sztywno, nieprzytomnie wpatrując się w znajdujące się tuż nad jego głową szklane wieko. Roźdiestwieński przycisnął twarz do szyby.

– Kapralu?

Z komory, jak zza grobu, dobiegł przytłumiony głos:

– Towarzyszu pułk... pułków... niku... Ja... Co jest?... Ja czuję...

Oficer powiedział wolno, wyraźnie akcentując każdą sylabę:

– Gdzieście się urodzili, kapralu?

– Mińsk... W Mińsku, towarzyszu... pułkowniku.

– Ile jest trzy razy dziewięć?

– Dwadzieścia siedem – odparł po chwili zastanowienia zapytany.

– Ile w przybliżeniu wynosi liczba pi?

– Aaaa... Trzy, przecinek, tysiąc czterysta szesnaście dziesięciotysięcznych, towarzyszu pułkowniku.

Z każdą chwilą głos Gurienki brzmiał pewniej i wyraźniej.

– Co tam robicie?

– Zgodziłem się służyć Związkowi... – Jak?

– Zgłosiłem się na ochotnika, aby jako królik doświadczalny wziąć udział w teście na działanie gazu narkotycznego. Po udanej próbie w kapsułach narkotycznych ma być umieszczonych tysiąc żołnierzy doborowych formacji KGB oraz wybrane towarzyszkę. Mają w nich przetrwać pięćset lat, zaś po obudzeniu opanować w imieniu Kraju Rad całą ziemię oraz zniszczyć sześć amerykańskich promów kosmicznych, które w tym czasie powinny powrócić na ziemię, oraz...

– Dosyć! – przerwał Roźdiestwieński. – Reszta nie jest już ważna. Kapralu Gurienko, jesteście bohaterem Związku Radzieckiego. Nasz kraj, rząd, ludzie radzieccy, a zwłaszcza towarzysze sekretarze będą wam wdzięczni za poświęcenie i odwagę!

Pułkownik spojrzał na profesora.

– No i...?

– Mówiłem wam już, towarzyszu pułkowniku, że nie można tak szybko zweryfikować wszystkich wyników testu...

– Główne wnioski?

– Człowiek może bezpiecznie przebywać w komorze kriogenicznej, nie tracąc żadnych właściwości fizycznych czy psychicznych. Oczywiście, zanim wydamy orzeczenie o wynikach testu, kapral będzie musiał przejść szczegółowe badania, ale sądzę, że powinny wypaść pozytywnie...

Oficer rzucił niedopałek papierosa na ziemię i przydepnął go obcasem. Następnie podszedł do czerwonego telefonu stojącego na niewielkiej półce. Podniósł słuchawkę.

– Tu mówi Roźdiestwieński. Dajcie mi wywiad. Poczekaj chwilę na połączenie. Usłyszał stukot oznaczający automatyczne włączenie się aparatury podsłuchowej, w słuchawce zaś rozległ się głos oficera dyżurnego, domagającego się podania hasła i numeru identyfikacyjnego.

– To nieważne, mówi pułkownik Roźdiestwieński. Przesyłam wiadomość siedemnastą. Powtarzam, SIEDEMNASTĄ! Jestem w laboratorium, lecz zaraz wracam do centrum dowodzenia. Tam będę czekał na odpowiedź.

Odwiesił słuchawkę i z zainteresowaniem spojrzał na Złowskiego.

– Nie jesteście ciekawi, towarzyszu profesorze?

– Czego, towarzyszu pułkowniku? Oficer uśmiechnął się.

– Tego, co oznacza wiadomość siedemnasta.

– Nie interesują mnie tajemnice wojskowe. – Naukowiec spuścił wzrok, dobrze wiedząc, z kim ma do czynienia.

Jednak tym razem pułkownik nie inwigilował Złowskiego.

– To zakodowana wiadomość na Kreml. Oznacza ona tylko jedno: „Idź!” Czasem jedno słowo jest wszystkim, czego potrzeba – tłumaczył, chodząc w kółko. – Teraz dokończcie swoje badania, towarzyszu, i poinformujcie mnie o wynikach.

Zapalił następnego papierosa, w kartoniku zaś czekały dalsze dwadzieścia cztery. Musiał się ich napalić jak najwięcej, przecież czekało go pięćset lat abstynencji!

– Kapral powinien być traktowany jak bohater. Jakby był dygnitarzem z Kremla. – Roźdiestwieński uśmiechnął się do siebie. – Najlepsze lekarstwa, najlepsze jedzenie, niech dostanie wszystko, czego zapragnie. I wyślijcie go później do jakiegoś sanatorium na Krymie. Wam także bardzo dziękuję, towarzyszu profesorze. – Skinął lekko głową i opuścił laboratorium.

Idąc długim białym korytarzem Ośrodka Badawczo-Doświadczalnego, Roźdiestwieński z lubością słuchał, jak skrzypią jego nowe włoskie oficerki. Dawno rozpadną się w proch, a on wciąż będzie żył! Będzie nieśmiertelny, równy mitycznym bogom i herosom.

Rozdział III

John Rourke ostrożnie odłożył karabin na blat stolika i spojrzał na Natalię. Dziewczyna wciąż była rozdrażniona, kurczowo ścisnęła w dłoniach swój M-16. Tuż przed nią, na małym stołku, siedział jej wuj, naczelny dowódca oddziałów Armii Czerwonej, stacjonujących w Ameryce Północnej, generał Warakow. Za nim stała jego sekretarka, dwudziestoparoletnia Jekaterina, dziewczyna drobna i delikatna. Opiekuńczo trzymała dłoń na ramieniu starego generała.

Oprócz nich w sali mumii Muzeum Lake Michigan znajdował się wraz ze swymi ludźmi kapitan Władow, dowódca sowieckich sił szybkiego reagowania. Rosjanie byli nerwowi, czujni i nieufni. Trzymali w pogotowiu odbezpieczoną broń.

Głos generała zdawał się swą łagodnością rozładowywać atmosferę wrogości i podejrzliwości.

– Doktorze Rourke, atak, który zaproponowałem, z całą pewnością zostanie powstrzymany przez KGB, a osoby biorące w nim udział poniosą niechybnie śmierć. Czuję się trochę winny, że wyjawilem wam całą powagę sytuacji.

Rourke uśmiechnął się szeroko.

– Kapitan Władow ma jedenastu ludzi oraz swojego zastępcę, porucznika Daszrozińskiego. I jest jeszcze Natalia. Gdyby tylko tych trzynastu Rosjan brało udział w szturmie na górę Czejena, to niewątpliwie KGB poradziłoby sobie z nimi łatwiej niż z przyszczem na... nosie. Ale jestem jeszcze ja!

Warakow uśmiechnął się rozbawiony, kilku Rosjan z trudem powstrzymywało śmiech.

– To nie jest zabawne – rzekł poważnie Rourke. – Mogę załatwić dla was pomoc ludzi ze Stanów Zjednoczonych II! Znam teren i potrafię walczyć! Jeżeli połączymy nasze szczupłe siły z innymi oddziałami amerykańskimi, to jestem pewien, że uda nam się zakraść do bazy KGB i zniszczyć ich komory kriogeniczne oraz broń.

Przyjrzał się badawczo twarzom słuchaczy. Do wczoraj byli wrogami, dziś zaś stali się sprzymierzeńcami w walce z wszechpotężnym KGB. Ironia losu!

Jednak jakże trudno było załagodzić wzajemne animozje, nabrać do siebie zaufania... Rourke uważał, że śmiech przełamuje największe bariery, dlatego też John mówił napuszonym tonem, przedstawiając siebie jako Supermana z komiksów.

I cel swój osiągnął. Pierwsza zaczęła się śmiać Natalia, później kapitan Władow, o którym Warakow twierdził, że jest najlepszym żołnierzem Związku Radzieckiego, inni komandosi...

Na samym końcu dołączył do nich generał, któremu najdłużej udało się utrzymać powagę. Jego tubalny śmiech przypominał Rourke'owi świętego Mikołaja z kreskówek, które tak uwielbiał oglądać w dzieciństwie.

Rozdział IV

Nadszedł świt.

Jednak nie niósł ze sobą zapowiadanej zagłady. Jeszcze nie... Natura darowała ocalałym z katastrofy ludziom kolejny dzień życia. Może ostatni...? Wybuchy atomowe zniszczyły warstwę ozonową chroniącą Ziemię przed śmiertelnym promieniowaniem. Nocami na niebie widniały pasma niebieskawej poświaty. W górnych warstwach atmosfery pojawiły się ogromne świecące kule zjonizowanego tlenu. Nasiliła się częstotliwość wyładowań elektrycznych. W górze coraz częściej pojawiały się smugi ognia. To pod wpływem promieni słonecznych wypalał się zjonizowany tlen. Każdego ranka chłodne po nocy powietrze mogło spłonąć w ułamku sekundy, niszcząc wszelkie formy życia. A tego kataklizmu nie dałoby się powstrzymać; fala ognia, szeroka jak horyzont, przemierzałaby całą Ziemię, wyjąławiając ją doszczętnie. Jediną szansę przetrwania zagłady mieliby ludzie ukryci w głębokich, podziemnych, hermetycznie zamkniętych bunkrach... I ci ostatni potomkowie rodzaju ludzkiego żyliby tak długo, póki nie wyczerpałyby się zapasy powietrza, wody czy żywności.

Jednak Rourke miał szansę przetrwania, miał szansę ocalenia swojej rodziny, Paula, Natalii i siebie. Dzięki Warakowowi!

Od niego dowiedział się, że w posiadaniu KGB są kapsuły narkotyczne, w których można było przetrwać lata zagłady, doczekać, aż z wolna odtworzy się atmosfera na Ziemi, aż przylecą kosmiczne promy wysłane kilkanaście lat temu przez Amerykanów na krańce Układu Słonecznego. A na ich pokładach powróci kilkudziesięciu naukowców, bioników, medyków, inżynierów – cała elita umysłowa, gotowa odbudować cywilizację i kulturę. Zaś w ładowniach promów spoczywały zahibernowane nasiona tysięcy roślin, zarodki organizmów, domowe zwierzęta, ptaki, pożyteczne owady.

Gdzieś w kosmosie krążyło sześć cudownych ark Noego, mających powrócić za pięćset lat.

Niestety, KGB dobrze przygotowało się na ich przyjęcie. W potężnym schronie w górze Czejena zgromadzono tysiąc najlepszych komandosów oraz tysiąc młodych, dobrze rozwiniętych kobiet bez żadnych wad genetycznych, gotowych rozmnożyć się po przebudzeniu za pół tysiąca lat, opanować Ziemię, zaprowadzić na niej sowieckie prawa i porządki, gotowych zniszczyć amerykańskie promy w chwili ich lądowania.

O tym wszystkim rozmyślał Rourke, siedząc w wielkiej sali muzeum u stóp postaci walczących mastodontów. Warakow lubił tu zachodzić, przypatrywać się tym potężnym zwierzętom. Rourke rozumiał to, sam poczuł się przez chwilę, jakby był jednym z tych mastodontów, przygotowujących się do ostatecznej walki o przetrwanie. Musiał uratować swoich bliskich i rodaków, podróżujących

na kraniec naszego układu. Miał przeszkodzić Roźdiestwieńskiemu w wykonaniu misji KGB, zniszczyć ich broń. Tego wymagało od niego przywiązanie do demokracji, do swobód obywatelskich, do wolności. Nie mógł dopuścić, aby przyszłym światem rządili Sowieci. Nie mógł pozwolić, aby zło zatriumfowało nad dobrem.

Rozdział V

Sarah Rourke, ubrana w wełniany sweter Natalii i swoją jedyną dżinsową spódniczkę, siedziała na kamieniu w pobliżu głównego wejścia do schronu, oglądając wschód słońca. Przy jej udach leżał odbezpieczony pistolet. Na sąsiedniej skale rozsiadł się Paul, uzbrojony, jakby wyruszał na wojnę. Na kolanach trzymał M-16, na ramieniu zawiesił pistolet maszynowy, przy pasie miał dwa rewolwery, zaś w kaburze na piersiach – automatycznego browninga. Nawet jego zabandażowana lewa ręka spoczywała na rękojeści noża.

– Rzeczywiście czujesz się na tyle dobrze, że możesz pozwolić sobie na dłuższe spacery? – zapytała kobieta.

– Jasne, uszkodzili mi tylko lewe ramię. Przecież walczyć mogę prawym, pani Rourke.

– Mówiłam już tyle razy, że mam na imię Sarah.

– Dobrze, Sarah – przytaknął, drapiąc się po nosie. – W każdym razie dobrze mi zrobi trochę świeżego powietrza.

– Ciekawe, co robią dzieci?

– Kiedy wychodziłem na zewnątrz, Michael czytał. Annie nie widziałem, ale na pewno jest w Schronie. Czemu poszłaś za mną? John polecił ci na mnie uważać?

Pokręciła głową, wstrząsając mokrymi włosami. Zastanawiała się, co się stanie, kiedy opustoszeją składy z żywnością i ubiorami, wypełnione przez jej męża. Oczywiście, posiadali podręczniki kroju i szycia, mieli także książki kucharskie. Czy i oni w dalekiej przyszłości będą ubierać się niczym jaskiniowcy, jeść dziczyznę, wytwarzać świece domowej roboty? A przecież generator elektryczny zainstalowany na podziemnym strumyku będzie im przez setki lat dostarczał energii. Roześmiała się głośno.

– O, przepraszam...

– Za co? – zdziwił się Paul. – Jak powiadają lekarze, śmiech to zdrowie.

– Wyobraziłam sobie siebie ubraną w skóry, piekącą w kuchence mikrofalowej królika upolowanego przez Johna, przyświecającą sobie pochodnią.

Paul zawtórował jej śmiechem.

„Mimo wszystko – pomyślała Sarah – dobrze mieć jakieś perspektywy”.

Rozdział VI

Reed podniósł M-16 porzucony przez żołnierza zabitego podczas pierwszego uderzenia. Ćwierć mili od szpitala helikoptery zawróciły, ponownie otwierając ogień do uciekających pojazdów. Na ogromnych amerykańskich heliach widniały wielkie, starannie wymalowane, czerwone gwiazdy. Pułkownik wpakował cały magazynek w najbliższą maszynę. Z większym skutkiem komar zaatakowałby słonia!

– O kurwa! – mruknął, kryjąc się za jedną z unieruchomionych ciężarówek. Długie serie z broni pokładowej wryły w asfalcie głębokie bruzdy, przecięły na pół czołgającego się po ziemi sanitariusza, z chrzęstem wbijały się w karoserię, brezent, skrzynię samochodu. W środku pojazdu wybuchła ogromna wrzawa i ulokowani w niej pacjenci z krzykiem wyskakiwali na ziemię, usiłując znaleźć bezpieczniejsze schronienie, zaś radzieckie śmigłowce krążyły nad ich głowami niczym sępy, a salwy z pokładowych działek zmieniały ludzi w bezkształtną krwawą masę.

Część ciężarówek zdążyła już odjechać, jednak pozostały przed szpitalem jeszcze trzy. Jedna z nich stanęła w ogniu, ze skrzyni wypadli płonący ludzie. Tarzali się po ziemi w konwulsjach.

– Wy skurwysyny! – wrzasnął w bezsilnej wściekłości pułkownik.

Nastąpiła chwila spokoju, helikoptery skierowały się w stronę wzgórz, aby spokojnie przegrupować szyki i raz jeszcze zaatakować bezbronnych Amerykanów.

Wiedziony irracjonalnym impulsem pułkownik odwrócił się i spojrzął na szpitalną bramę. Na szczycie schodów stał nieruchomo Rubenstein. Wyglądał jak kamienny posąg. Wolno podniósł głowę ku niebu i zawył:

– Moja żona nie żyje! Słyszysz? Moja żona nie żyje!!

Pomimo sporej odległości Reed dostrzegł rozdarte ubranie na piersiach starego oficera i podrapane aż do krwi ciało. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że przecież Rubensteinowie są Żydami i że Żydzi właśnie w ten sposób okazują swoją najgłębszą rozpacz.

Chciał zawołać, że mu przykro, lecz nagle zauważył, jak od zbliżających się śmigłowców odrywają się czarne pojemniki i spadają na budynki. W ułamku sekundy na ziemi zapanowała ogromna jasność i wszystko – szkołę, dziedziniec, ludzi oraz pułkownika Rubensteina – zalała rzeka ognia.

Napalm!

Reed poczuł na twarzy podmuch żaru i przestraszony odbiegł kilkanaście jardów w kierunku najbliższej ciężarówki. Pojazd nie wyglądał na uszkodzony. Wskoczył na schodki kabiny.

– Kierowco, zabierajmy się stąd!

Spojrzał na twarz żołnierza, bezwładnie opartego o kierownicę. Otwarte szeroko oczy szofera

były zamglone, zimne i puste...

– Niech Bóg cię ma w opiece, synu – mruknął pułkownik, wyrzucając martwego kierowcę z kabiny i zajmując jego; miejsce.

Przekręcił kluczyk. Motor zapalił i chodził miarowo.

– Wreszcie coś się układa... Spojrzał przez tylną szybę do skrzyni. Na podłodze kuliło się kilkoro rannych.

– Trzymajcie się, jedziemy! – zawołał do nich. Nie chciał, aby stan zdrowia któregokolwiek pogorszył się przez jego szaleńczą jazdę.

Zwolnił hamulec i z głośnym rykiem silnika ruszył do przodu, jakby był kierowcą rajdowym biorącym udział w ważnym wyścigu. „Właściwie to jest wyścig – pomyślał. – Wyścig ze śmiercią!”

Nisko, niecałe dwadzieścia stóp nad drogą, leciał wprost na niego jeden z ogromnych szturmowych helikopterów. Reed widział twarz pilota pochylonego nad pulpitem i wyszczerzone zęby strzelca pokładowego. Sprężone cztery działka plunęły gradem pocisków. Pułkownik odruchowo zamknął oczy. Usłyszał trzask pękającej szyby, świst kul, stukot dziurawionej blachy, jakieś krzyki, ryk oddalającego się śmigłowca. Stracił kontrolę nad pojazdem. Nic nie widział – przednia szyba nie stłukła się, lecz popękała na tysiąc maleńkich załamania, stając się zupełnie nieprzezroczysta. Poczł szarpnięcie i uderzenie z prawej strony. Musiał ściąć jeden ze słupów telefonicznych. Zahamował raptownie i wyskoczył na ziemię. Nim powstał, wyciągnął z kabury swojego kolta i rozejrzał się czujnie.

Nieprzyjaciel wracał do bazy, jego zadanie zostało wykonane. Szkoła znikła w morzu ognia, na drodze pozostały dwie rozbite, płonące ciężarówki, wokół nich leżały dziesiątki zakrwawionych, pokiereszowanych ciał. Po poboczu czołgał się jakiś ranny, ocalali przy życiu pielęgniarze usiłowali nieść pomoc tym, których można było jeszcze uratować.

Oficer ruszył do samochodu, chcąc sprawdzić, czy wóz nadaje się jeszcze do jazdy. Człł tętno pulsujące w skroniach. Lewa ręka nieznacznie krwawiła, obtarł sobie kolana, lecz nie odniósł poważniejszych obrażeń.

Zerknął pod brezent.

– O Jezu!

Żołądek podszedł mu do gardła. Zachłysnął się śliną i zwymiotował.

Wszyscy ludzie, których wiozł, byli martwi!

Schował pistolet i szarpnął połą munduru. Za panią Rubenstein, za jej męża, za wszystkich tu pomordowanych... Guziki przyszyte mocno, trudno było je oderwać, lecz za trzecim szarpnięciem udało mu się rozerwać bluzę i obnażyć pierś. Nic do niego nie docierało. Człł jedynie ogromną rozpacz.

Rozdział VII

Natalia Anastazja Tiemierowna poczuła na swych ramionach ciepłe, szorstkie ręce wuja. Przełknęła słoną łzę, usłyszała przyciszony głos generała Warakowa:

– Napisałem w tym liście całą prawdę, dziecko.

– Wszystko... Wszystko, co w nim było – o moich prawdziwych rodzicach, o mojej prawdziwej matce... Wszystko to sprawia, że cię jeszcze bardziej kocham, wujku Izmaelu...

– Napisałem to wszystko do Rourke'a, bo myślałem, że mogę już cię więcej nie ujrzeć, a uznałem, że masz prawo poznać całą prawdę o swojej przeszłości. Jak poszło temu Amerykaninowi?

– Odnalazł wreszcie swoją rodzinę.

– A co teraz będzie z tobą, moje dziecko?

Zamknęła oczy i zacisnęła powieki tak mocno, że aż ujrzała pod nimi kolorowe plamki.

– Co będzie z tobą, dziecko? – powtórzył Warakow.

– Jego żona wie... Jego żona wie, że ja go kocham. Wie też, że i on mnie kocha.

– Mężczyzna nie może mieć dwóch żon jednocześnie, nawet jeżeli jest tak niezwykle jak doktor Rourke.

– My... my...

– Może on chciałby, abyś była dla tego Rubensteina?

– Kocham Paula... ale jedynie jak brata. Wolę już, aby John mnie nigdy nie dotknął, wiedząc, jak go kocham, niż okłamywać go, że pragnę innego.

– Ona jest starsza niż ty? – Mężczyzna pogładził Natalię po policzku.

– Ma trzydzieści trzy lata, między nami jest zaledwie pięć lat różnicy.

– Więc możecie obie z nim pozostać, o ile przeżyje zagładę.

– Nie chciałabym...

– Czego, dziecko? Jego śmierci czy też dzielenia się nim z inną kobietą?

– Nie chcę, aby zginął.

– Moje biedne dziecko...

Znów zamknęła oczy i zastygła w bezruchu, jak to czyniła dawniej, gdy bił ją Karamazow, jej pierwszy mąż.

– Nie wiem, czy bym chciała... Czy bym mogła...

– Wiem, że byś nie mogła! – przerwał jej wuj, śmiejąc się cicho. – Co za ironia! Wspaniała maszynka do zabijania! Nigdy ci o tym nie wspominałem, ale tak cię właśnie nazywali w Politbiurze – „Maszynka do zabijania”! Jakże się mylili... Twoje serce zawsze pozostanie sercem twojej matki.

Chyba wspominałem w liście, że także miała na imię Natalia?

– Tak – szepnęła. – Napisałeś o tym.

– Nie byłem pewien, dziecko... Starzec często zapomina o najważniejszych sprawach. Wracając zaś do Amerykanina, to nie powinnaś się o nic martwić. Jest jeszcze mężczyzną w pełni sił.

– On jest więcej niż mężczyzną! – przerwała mu z uniesieniem. – On jest...

– Nigdy nie byłem religijnym człowiekiem, lecz uważam, że źle jest mówić takie rzeczy. Dobrze, jeśli mężczyzna uwielbia kobietę czy kobieta mężczyznę. Ale nie wolno go traktować jak Boga! – Zajrzał jej głęboko w oczy. – My, drogie dziecko, dzięki naszemu wychowaniu, nigdy tak naprawdę nie znaleźmy Boga, ale nie wolno nam szukać go wśród ludzi. Sądzę, że swojego Boga odkryję w godzinie śmierci i będzie to ten sam Stwórca, którego i wy kiedyś znajdziecie, ty i doktor Rourke. Ale nie uda wam się to, jeżeli będziecie odkrywali go w sobie. Traktuj Amerykanina, jak na to zasługuje, lecz nie ubóstwiaj!

Otoczyła szyję wuja ramionami i przytuliła się do niego mocno, tak jak to często robiła, będąc małą dziewczynką.

Rozdział VIII

Rourke stał na szczycie schodów prowadzących z wielkiej sali na wyższą kondygnację, przypatrując się znajdującym poniżej mastodontom. Spojrzał na zegarek. Wpół do dziewiątej. Za kwadrans powinni przyjechać!

Rozłożył na posadzce całe swoje uzbrojenie i raz jeszcze sprawdził, czy broń jest naładowana, gotowa do walki. Sam się nieraz dziwił, skąd ma tyle sił, aby nosić cały ten arsenał. M-16, dalekosiężny karabin snajperski, pistolet maszynowy, dwa rewolwery Python, dwa automatyczne pistolety, dwa małe półautomatyki, nóż myśliwski o szerokim ostrzu, sztylety, bagnet... Wystarczyłoby tego na uzbrojenie plutonu partyzantów!

Usłyszał odgłos kroków, rozlegający się echem w pustym hallu muzeum. Obejrzał się. Boczny korytarzem nadchodzili Natalia i generał Warakow. Spojrzał w dół, gdzie między filarami stali ukryci radzieccy komandosi. Z mroku wyłonił się ich dowódca, kapitan Władow, i usiadł obok Amerykanina.

– Wygląda na to, kapitanie, że jesteśmy gotowi.
– Wkrótce się zacznie, doktorze Rourke.
– Jak się czujesz, szykując się do walki z innymi Rosjanami, z twoimi rodakami?
– Tak, oni są Rosjanami, ale nie takimi jak ja. Ja i moi ludzie reprezentujemy dumę i chwałę Związku Radzieckiego, oni zaś – jego ciemne, ponure cechy!

Rourke spojrział uważnie na żołnierza.

– Tak, to dość jasne – przyznał.

Dobiegł do nich głos starego generała mówiącego do dziewczyny:

– Już czas, moje dziecko.

Amerykanin podszedł do nich i wyciągnął rękę do Warakowa.

– Sądzę, że gdybyśmy nie widzieli tylu zbrodni dokonanych przez obie strony, to moglibyśmy stać się wspaniałymi przyjaciółmi.

Rosjanin potrząsnął jego dłonią.

– Masz rację, doktorze. Teraz oddaję w twoje ręce mój największy skarb. Troszcz się o nią.

– Będę się o nią troszczył jak o własne życie... Bardziej niż o własne życie! – poprawił się Rourke.

– Nas, komunistów, uczono przez całe życie, że Bóg nie istnieje. Ale chciałbym, aby Bóg istniał i was chronił!

– Niech cię Bóg błogosławi, generale, jak to mawiamy my, kapitaliści. – Rourke uśmiechnął się serdecznie.

Warakow puścił ramię Natalii i powiedział po rosyjsku:

– Kocham cię, dziecko. Jesteś córką, której nigdy nie miałem, jesteś życiem, jakiego nigdy nie dałem. Pocałuj mnie na pożegnanie. Widzimy się po raz ostatni.

Doktor dyskretnie odwrócił się, nie chcąc im przeszkadzać. Po chwili usłyszał głos dziewczyny:

– John, jestem gotowa!

Spojrzał raz jeszcze na odchodzącego generała. Kapitan Władow i stojący za nim porucznik Daszroziński zaszalutowali.

Rozdział IX

Rourke patrzył na mokrą od łez twarz Natalii, później na kapitana. Po chwili szepnął:

– Naprzód. Najlepszym dowodem uznania dla Warakowa będzie wykonanie tego, co nam zlecił.

Jak pan sądzi, kapitanie?

– Jasne!

– Natalia?

– Masz rację, John.

Pierwsza zeszła po schodach, przeszła obok figur mastodontów i wyszła z muzeum. Za nią podążyli pozostali.

Wielka słoneczna tarcza widniała nad rozjaśnionymi wodami jeziora. Gdzieś po ich lewej stronie uderzył grom, powalając wielkie drzewo.

Ósma czterdzieści dwie. Za trzy minuty pojawi się KGB!

Przez parking, wielki trawnik i spacerowy bulwar pobiegli w stronę skalnego zwaliska omywanego falami jeziora.

– Doktorze, spójrz za siebie! – zawołał Warakow. Rourke obejrzał się w biegu. Daleko, na zakręcie prowadzącym do muzeum, pokazały się pierwsze ciężarówki.

– Nasi goście przybywają!

Minęli chicagowskie akwarium i skryli się wśród skał.

– Co robimy, towarzyszek majorze? – zapytał kapitan, patrząc na Natalię.

– Te ciężarówki... – Dziewczyna wzięła głębszy oddech. – Oni kierują się na Meiggs Field?

– Tak. Odlatują stamtąd punktualnie o dziewiątej piętnaście. Nie wiemy dokąd. Później puste pojazdy powracają do bazy.

– Jakie samoloty na nich czekają? – zapytał Amerykanin.

– Boeingi 135.

– Latające kontenery – przytaknął. – Może przesyłają nimi stal potrzebną do dokończenia budowy schronu.

– Może – odezwała się Tiemierowna. – Ale wuj mówił, że wysyłają też sporo sprzętu.

– Maszyny?

– Nie tylko. Także wozy bojowe, samochody i motocykle. Oraz wielkie ilości broni.

– Co mamy robić, jak myślisz? – spytał Rourke. – Przecież KGB znasz lepiej niż każdy z nas.

– Wuj ma trzy łodzie przycumowane za skałami. Może zanim odpłyniemy, zrobimy małe rozpoznanie?

– Na to nie mamy najmniejszych szans – powiedział doktor i zwrócił się do Władowa: – Idziemy

do łodzi, kapitanie. Niech twoi ludzie trzymają nosy przy ziemi.

– Dobra. – Zgodził się oficer. – Słyszeliście, co powiedział doktor Rourke? – zwrócił się do swych podwładnych. – Nosy i dupy trzymać przy ziemi, aby wam ich kto nie odstrzelił!

Natalia wstała. John chwycił mocno jej rękę.

– Tak bym chciał, aby nic z tego, co przeżyliśmy, nigdy się nie wydarzyło – szepnął. – Oczywiście z wyjątkiem naszego spotkania.

– Ja również bym to wolała. – Przyznała i nisko schylona zniknęła między skałami.

Rozdział X

Sam Chambers, prezydent Stanów Zjednoczonych II, rozejrzał się po zgromadzonych i powiedział wolno:

– To prawdziwa masakra, zwykła rzeź...

Reed przymknął oczy, zaciągając się pachnącym cygarem.

– Ale tak właśnie było, panie prezydencie. Ruszyło na nas główne uderzenie Sowietów. Przeczuwałem to. Przez ostatnie dwa tygodnie mieliśmy dość wyraźne oznaki, że przygotowują uderzenie z powietrza. Zwiad lotniczy wypatrzył w Teksasie i centralnej Luizjanie silne zgrupowanie wroga. Chcą nas zmiażdżyć między dwoma frontami.

– Jak pamiętam, pułkowniku, miał pan skontaktować się z Ochotniczą Milicją Tekszańską...

– Tak, panie prezydencie. Niecałe trzy tygodnie temu wysłałem do Teksasu porucznika Fletchera i od tamtej pory nie miałem od niego wiadomości. Jeżeli nawiązał kontakt z milicją, to mogli go wziąć za szpiega i rozstrzelać. Od śmierci Randana Soamesa ich dowództwo zmieniło się sześć razy i mogą być infiltrowani przez komunistów. Dotarły też do mnie pogłoski o wielkich formacjach przestępczych sprzymierzonych z milicją, ale to nic pewnego.

– Tekszańcy są naszą jedyną nadzieją, prawda, pułkowniku Reed?

Oficer wyciągnął z ust niedopałek cygara i wrzucił go do stojącej na biurku popielniczki w kształcie ludzkiej stopy. Przez chwilę pomyślał o swych rodakach poszatkowanych na kawałki podczas bandyckiego napadu i znów zebrało mu się na wymioty. Szybko się opanował.

– Gdyby połączyli z nami swoje siły – powiedział wolno – wtedy moglibyśmy pokusić się o kontratak. Oni związałyby siły Ruskich w Teksasie, a my uderzylibyśmy na zgrupowanie wroga w Luizjanie. Jeżeli jednak nie połączą się z nami, Sowietci wezmą nas w kleszcze.

– Nie pozwolimy się otoczyć – odezwał się jeden z młodych oficerów sztabowych.

– Lecz należy rozpatrzyć i tę ewentualność – ostrożnie stwierdził Reed.

Nie chciał wyjawiać prawdy, znanej jedynie prezydentowi, jemu i paru innym amerykańskim dowódcom. W pokoju znajdowali się ministrowie, cywile, młodzi oficerowie. Pułkownik nie chciał siać w ich sercach wątplenia. Lepiej było oddać życie w walce ze zniechęconym wrogiem, wiedząc, że ginie się za słuszną sprawę, niż spłonąć żywcem wraz z Ziemią!

Pułkownik zapalił kolejne cygaro, rozmyślając o Fletcherze. Dotarł do Tekszańców czy nie?

Rozdział XI

Ostrożnie dotarli nad brzeg jeziora. Przy skałach kołysały się na falach trzy sześćosobowe łodzie motorowe, strzeżone przez trzech ludzi uzbrojonych w Kałasznikowy.

Rourke spojrział na Natalię.

– GRU, wywiad wojskowy – szepnęła. – To ludzie mojego wuja.

Wyszła z ukrycia, pokazując się strażnikom.

– Czekacie na mnie, jestem major Tiemierowna – oznajmiła. W jej ślady poszedł Amerykanin i rosyjscy komandosi.

– Wreszcie przybyliście, towarzyszeko – powiedział jeden ze strażników.

– Jesteście gotowi do odpłynięcia? – zapytał Rourke.

– Tak, towarzyszu... eee... Chyba to wy jesteście tym amerykańskim doktorem?

– Tak, ale nie przeszkadza mi, jeśli będziesz mnie nazywał towarzyszem.

– Możemy odpłynąć w każdej chwili, ale silniki są bardzo głośne. Jeżeli usłyszą nas ci z KGB, to zaczną strzelać, a łodzie nie są kuloodporne. To zwykle turystyczne łodki z plastyku.

– Poczekajcie – szepnął doktor. – Rozejrzę się.

John wspiał się na wyższą partię skał i popatrzył dookoła. Konwój KGB zatrzymał się na lotnisku otoczonym przez uzbrojonych żołnierzy. Ale jeden łazik wolno jechał w kierunku akwarium. Rourke nie znał przyczyny, dla której tu zmierzali.

Zeskoczył w dół.

– Jedzie do nas jeden samochód z radiową anteną.

– To codzienny patrol – wyjaśnił funkcjonariusz GRU. – Pojawiliście się zbyt późno, złapali nas w potrzask. Oni regularnie sprawdzają okolice lotniska. Zazwyczaj w samochodzie jest dwóch żołnierzy, ale nad jezioro zawsze wysyłają trzech. Jeden ciągle odlewa się na tych skałach. – Wskazał ręką.

– Wspaniale – mruknął z przekąsem Rourke.

– Nie możemy włączyć silników, bo nas usłyszą...

– Więc ich zabijemy! – stwierdził Amerykanin. – Zanim zdążą powiadomić dowództwo o naszej obecności.

– Nie mamy czasu! – przerwał strażnik. – Wkrótce wystartują samoloty. Jeżeli nie odpłyniemy natychmiast, to któryś z pilotów zauważy nas i powiadomi straż wodną.

– Twoje słowa brzmią niczym marsz żałobny. – Rourke wykrzywił usta w wymuszonym uśmiechu. – Nie znasz nic weselszego? A ja mam nowy pomysł. Natychmiast odpłyną dwie łodzie, a trzecia zaczeka na tych, którzy załatwią żołnierzy z patrolu. Teraz nie można włączać silnika.

Musicie chwycić za wiosła.

Spojrzał na dziewczynę.

– Chciałbym, abyśmy zrobili to wspólnie, ale jedno z nas musi odpłynąć, bo inaczej Sarah, Paul i dzieci nie będą mieli najmniejszej szansy na przetrwanie...

– Zostanę – powiedziała szybko Natalia. – Zostanę!

– Wiem, o czym myślisz. – Amerykanin uśmiechnął się łagodnie i zanim zdążyła zorientować się, co on planuje, chwycił ją błyskawicznie jedną ręką za szyję, a drugą uderzył dziewczynę mocno w skroń. Ciało Tiemierownej zwiotczało...

– On uderzył towarzyszkę major! – Jeden z żołnierzy wywiadu spojrzał zdziwiony na Władowa.

– Uderzył, aby uchronić jej życie – spokojnie odparł kapitan. Rourke przyciągnął bezwładne ciało dziewczyny do brzegu.

– Poruczniku Daszroziński, weźcie paru ludzi i zajmijcie miejsca na pokładzie, podam wam Natalię. Zostanę tu z kapitanem Władowem, jeśli się zgodzi, i z jednym jeszcze żołnierzem, aby załatwić tych z KGB.

Spojrzał na strażników.

– Któryś z was musi zostać w trzeciej łodzi. Jak tylko wykonamy zadanie, powiadomi pozostałych, że mogą już włączyć silniki, i sam zapali motor.

Podał omdlałą Natalię ludziom siedzącym w łodzi.

– Poruczniku, kiedy się zbudzi, powiedz jej, żeby nie była na mnie bardzo wściekła, dobrze?

Daszroziński uśmiechnął się.

– Spróbuję, ale nie mogę obiecać efektu.

– Dobra. Dzięki, poruczniku. Władow podszedł do Rourke'a.

– Doktorze, wybrałem na trzeciego kaprała Razawitskiego. Amerykanin spojrzał na młodego, dobrze zbudowanego żołnierza i skinął głową.

– Czy mogę coś zaproponować?

– Oczywiście, kapitanie, przecież wspólnie walczymy z KGB.

Dwie łodzie cicho odbiły od brzegu. Krótkie wiosła zanurzyły się w wodę.

Rozdział XII

Zanim otworzyła oczy, już wiedziała, gdzie się znajduje i co się stało. Spojrzała na błękitne niebo i z trudem usiadła na ławce. Nie czuła żadnego bólu, była tylko nieco otepiała.

Ujrzała przed sobą uśmiechniętą twarz porucznika Daszrozińskiego.

– Doktor Rourke prosił, aby towarzyszka się na niego nie gniewała...

Nic nie odpowiedziała.

– Doktor, kapitan, kapral Razawitski oraz jeden z wywiadu pozostali na brzegu. Kiedy uporają się z patrolem, dadzą nam znak i wtedy będziemy mogli włączyć silniki.

Nadal milczała, starając się opanować gniew.

– Jaki mają plan? – odezwała się po dłuższej chwili.

– Nie wiem, ale towarzysz generał powiedział towarzyszowi kapitanowi, że doktor Rourke jest specem w tych sprawach, a i kapitan Władow jest doświadczony w...

– Tak, wystarczy – przerwała, spoglądając w kierunku brzegu. Ponad skałami ujrzała dach łazika, wysoką antenę i uchylone drzwi wozu. Nie obawiała się o swoje bezpieczeństwo. Wiedziała, że Kałasznikowy, w które są uzbrojeni żołnierze KGB, strzelają celnie ogniem ciągłym na odległość dwustu metrów, zaś pojedynczym do czterystu. Ich łodzie przekraczały właśnie tę granicę. Nawet gdyby któryś z żołnierzy zwiadu pojawił się nad brzegiem, nie mógłby ich powstrzymać. Ale dziewczyna bała się o Johna. On przecież znajdował się bliżej strzelców. Mógł zostać trafiony nawet przez niedoświadczonego żołnierza.

Nieco zdenerwowana, wyrwała wiosło z rąk najbliższego komandosa i sama zaczęła wiosłować.

Rozdział XIII

Podkradli się do krańca skalistego zwaliska. Obserwowali, jak zatrzymuje się łązik i wysiadają z niego trzej mężczyźni. Tylko dwóch uzbrojonych było w pistolety maszynowe AK-47, trzeci zaś miał wielki rewolwer ukryty w kaburze.

„Gdybym miał Walthera Natalii...” – pomyślał Rourke. Półautomatyczny pistolet Walther należał do najlepszych. Niejedna broń z tłumikiem strzelała głośniejsze. Niestety, Walther odpływał wraz z Tiemierowną... Szkoda, że John nie pomyślał o nim wcześniej.

Funkcjonariusze KGB rozdzielili się. Dwóch poszło w stronę akwarium, a trzeci nad jezioro. Za tym ostatnim podążył kapral Razawitski, ściskając w spoconych dłoniach cienki drut. Miał najbardziej nieprzyjemne zadanie: musiał zabić żołnierza załatwiającego swe potrzeby fizjologiczne.

Amerykanin i kapitan Władow przygotowali się do ataku. Rourke zrzucił cały krępujący go ciężar – uzbrojenie oraz plecak – i z obnażonymi nożami w dłoniach szykował się do biegu.

Samotny żołnierz, pogwizdując beztrudnie, podszedł do małego skalnego urwiska, rozpiął rozporek, skierował twarz ku słońcu... Jego kompani zawołali coś do niego ze śmiechem, lecz nie zdążył już odpowiedzieć. Zawył tylko:

– Ooo! Mój kuta... – I jego ciało stoczyło się w dół.

Dwaj pozostali pobiegli w tamtą stronę, lecz żaden z nich nie dotarł i nie ujrzał, co stało się z ich towarzyszem.

Pierwszy z ukrycia wyskoczył Rourke. Nim przeciwnik zdążył zareagować, zasłonić się czy chociażby odbezpieczyć broń, John był już przy nim, uderzając go nożami w szyję. Rosjanin upadł na ziemię, zacharczał. Ze straszliwie poszarpanej tchawicy buchnęła krew.

Władow klęczał na drugim funkcjonariuszu, podrzynając mu gardło. Nie zamieniając ze sobą ani jednego słowa, wbili swymi ofiarom noże w piersi, aby mieć całkowitą pewność, iż żaden nie przeżyje. Wytarli zakrwawione noże o mundury zabitych.

Z wnętrza otwartego łązika doleciał trzask radia i głos pytający o coś po rosyjsku.

– Pewnie to rutynowe połączenie – odezwał się kapitan. – Ze sztabu KGB.

– Wynośmy się stąd. Niech ten z wywiadu da sygnał...

– Już to zrobił, słyszę warkot motorów.

Zbiegli na brzeg. Przy martwym żołnierzu stał kapral Razawitski. Jego twarz była blada jak kreda. Władow poklepał go po ramieniu.

– Andriej, tylko spełniłeś swój obowiązek!

– Ale, towarzyszu kapitanie, ten człowiek był Rosjaninem...

– Teraz był jedynie twoim wrogiem.

– Myślisz, że on wahałby się, będąc na twoim miejscu? – spytał Rourke.

– Nie wiem, doktorze...

– Jemu już obiecano szansę przeżycia zagłady w schronie KGB i bez wahania zgładziłby każdego, kto by tę jego szansę zmniejszył. Nawet gdybyśmy nie chcieli zniszczyć kapsuł narkotycznych, to i tak zabiłby nas jako ludzi znających tę tajemnicę.

– Chyba ma pan rację, doktorze.

– Więc ruszajmy się! – rozkazał Amerykanin i pierwszy wskoczył do łódki. Żołnierz wywiadu szarpnął za linkę silnika, zapalając go natychmiast.

Usłyszeli dobiegający z oddali warkot samolotów. Zostało im kilka minut na takie oddalenie się od lotniska, aby ich obecność na wodach jeziora, zauważona przez pilotów KGB, nie wzbudzała żadnych podejrzeń.

Odbili od brzegu. Rourke usiadł spokojnie na dziobie łodzi, zastanawiając się, ile cierpień poniesie jeszcze ludzkość w ciągu tych paru dni, które jej pozostały.

„Zapewne wiele – pomyślał. – Zbyt wiele!”

Rozdział XIV

Kiedy nad ich głowami przemknęła powietrzna armada KGB, a przez kolejne pół godziny nikt się nimi nie interesował, odetchnęli z ulgą. Nie wzbudzili niczyich podejrzeń, mogli więc kontynuować swoją misję!

Był, co prawda, moment niepewności, kiedy podpłynęła do nich łódź patrolowa dokonująca rutynowych kontroli jeziora, lecz kapitan Władow oświadczył dowódcy patrolu, że zostali wysłani przez generała Warakowa. Przepuszczono ich bez zwłoki. Jak na razie nazwisko generała było najlepszą przepustką.

Gdy tylko straż wodna zniknęła im z oczu, Rourke nakazał zmianę kursu.

Po godzinie dotarli do Waughegan. Nabrzeże było zdewastowane i puste. Nikt nie zauważył ich wylądowania, a jeśli nawet dostrzegli ich jacyś „tutejsi”, to woleli trzymać się z daleka od kilkunastu dobrze uzbrojonych ludzi.

Przemknęli przez opustoszałe ulice, wśród ruder pamiętających pierwszą wojnę światową i czasy Al Capone’a. Dotarli na zaplecze podniszczonej portowej kafejki. Komandosi Władowa skryli się za drzewami, a Rourke w towarzystwie Natalii zszedł po brudnych schodkach do drzwi piwnicy.

Zastukał.

Otworzyło się małe okienko i zamajaczyła w nim twa starszego mężczyzny.

– Powiedz Tomowi Mause’owi, że major Tiemierowna i John Rourke pragną się z nim zobaczyć!
– polecił doktor.

– Poczekajcie minutkę. – Okienko się zatrasnęło.

John czekał dokładnie sześćdziesiąt sekund. Gdy czas minął, chciał zastukać ponownie, lecz drzwi stanęły otworem i pojawił się w nich Tom Mause.

– Musicie być w cholernej potrzebie – powiedział niskim łagodnym głosem. – Wchodźcie!

– Poczekaj, Tom. Mam ze sobą paru przyjaciół.

– Cóż to za jedni?

– Dwóch sowieckich oficerów i ich dziesięciu podwładnych. Ale oni są po naszej stronie!

Mause chciał błyskawicznie zatrasnąć drzwi, ale Rourke nie dopuścił do tego, zastawiając je nogą.

– Poczekaj... Jeszcze dzień, najwyżej cztery, pięć i potem wszystko się skończy.

– Czy to znaczy, że wszyscy Sowieci postąpią tak jak ta twoja major i przyłączą się do nas?

– Nie, Tom, nastąpi koniec świata. To nie żarty, nastąpi PRAWDZIWIY KONIEC ŚWIATA! – rzekł Rourke z naciskiem.

Jowialna twarz Mause’a pobladła.

– Jak na żart, to brzmi głupio...

– Nie żartuję.

– On mówi prawdę – wtrąciła Natalia. – Chciałabym z całego serca, aby John żartował, lecz to prawda!

– Co się właściwie kroi? – wyszeptał zaskoczony gospodarz.

– Jedna, ostatnia misja, dzięki której ocaleje paru ludzi. Lecz potrzebuję do tego twojej pomocy. Twarz Toma pobladła jeszcze bardziej.

– Dobra, oboje do środka!

– A naszych dwunastu apostołów? – zapytał doktor.

– Tylko Bóg wie, czemu mi rozum odbiera – mruknął Mause, potrząsając głową. – To kretyństwo, ale trudno. Lecz bądźcie pewni, że moi ludzie nie odłożą broni.

– A ty bądź pewien, że moi ludzie również – powiedziała Natalia.

Rourke gwizdnął cicho. Usłyszał stukot butów biegnących komandosów i wszedł do środka.

Rozdział XV

Emilia, Amerykanka polskiego pochodzenia, kapitan ruchu oporu, siedziała naprzeciwko Włodowa, przyglądając mu się uważnie. Nienawiść do Rosjan odziedziczyła po ojcu, uchodźcy politycznym. Ale teraz, patrząc na sympatycznego, przystojnego kapitana, uświadomiła sobie, że nie znając jego narodowości, mogłaby z nim poplirtować.

Tom stał przy radiotelegrafiście, z niepokojem przypatrując się jego twarzy.

– Jakie jest twoje zdanie, Marty?

– Wiesz, że nie używamy tego nadajnika. Rusczy mają taki sprzęt, że mogą namierzyć nas w ciągu kilku minut. Wtedy ten punkt będzie spalony, a nie mamy lepszej i bezpieczniejszej meliny.

– Panie Stanonik, to naprawdę bardzo ważne – powiedziała błagalnym tonem Tiemierowna.

– Jestem Marty. Mów do mnie tak jak wszyscy, zwyczajnie, „Marty”.

– A ja jestem Natalia...

– Hmm... Też nieźle! – pochwalił młody operator. – Rosjanka czy nie, jesteś zbyt ładna, aby do ciebie mówić „pani major”. No cóż, chyba nie mamy wyboru...

Stanonik zasiadł przy nadajniku, włączył go do sieci i nastawił na odpowiednią częstotliwość.

– Shuter wzywa Orła Dwa. Shuter wzywa Orła Dwa. Z głośnika dolatywały jedynie trzaski i szumy...

– Shuter wzywa Orła Dwa! Czy mnie słyszysz? Odbiór. Szumy i trzaski nasiliły się i nagle umilkły.

– Tu Orzeł Dwa. Podaj swój klucz. Odbiór. Operator zerknął na zegarek.

– Podaję kod. Seria dwadzieścia... zero, osiem. Tango... Odczytujcie... Bob, Jack, Willie, Mary, Ann, Harold. Oczekuję potwierdzenia.

Rourke uśmiechnął się do siebie. Kod był dziecinnie prosty. Seria dwadzieścia, zero, osiem oznaczała czas, ósmą dwadzieścia. Tango – literę T, oznaczającą długość fali.

Głośnik zaskrzeczał:

– Shuter, tu Orzeł Dwa. Potwierdzam. Seria dwadzieścia, zero, osiem plus dwadzieścia siedem.

„Plus dwadzieścia siedem znaczy najpewniej plus jedna, bo w alfabecie jest jedynie dwadzieścia sześć liter” – pomyślał Rourke. Miał rację, Stanonik nastawił pokrętło nadajnika na literę U.

– Tu Shuter. Mam faceta, który chce z wami pogadać. Załatwicie go szybko.

– Orzeł Dwa jest zajęty...

– Marty, powiedz temu głupkowi, że John Rourke chce mówić z prezydentem. Niech powiedzą Chambersowi, że koniec jest bliski. Pozostało parę dni – odezwał się Mause.

– Co? – Stanonik popatrzył ze zdziwieniem na doktora. Ten chciał mu odpowiedzieć, ale znów

uprzedził go Tom.

– Ten facet oznajmił mi, że zbliża się totalna zagłada...

– O, gówno!

Trzeba przyznać, że było to najwłaściwsze słowo podsumowujące całą zafajdaną rzeczywistość. John był tego samego zdania.

Rozdział XVI

Nadajnik miał niewielką skalę nadawczą, w związku z czym, aby wyeliminować możliwość zlokalizowania go przez Rosjan, Chambers mówił szybko i zwięźle:

– Nie mogę dać ci wielkiego wsparcia, doktorze Rourke. Wiedziałem już o zagładzie, więc to dla mnie nie nowina. Ale Warakow jest w porządku. Mogę wysłać dwunastu ochotników, nie więcej. Dwie wielkie armie rosyjskie przypierają nas do muru, atakują szpitale, miasta, szkoły, wszystko! Nasza jedyna nadzieja w Ochotniczej Milicji Teksasńskiej, ale Reed mówi, że nie możemy na nich liczyć. Aha, właśnie zgłasza się na pierwszego ochotnika. Dokąd mam ich wysłać?

Rourke przyjął założenie, że rozmowę mogła wyłapać jakaś radziecka stacja nasłuchu, toteż powiedział ostrożnie:

– Widziałem, jak kiedyś Reed czytał western. Niech sobie przypomni, gdzie autor umiejscawia akcję. To ważne z czterech powodów. Niech go pan spyta, panie prezydencie, czy zrozumiał. Odbiór.

W głośniku rozległ się śmiech Reeda.

– John, ty stary draniu, uwielbiam umawiać się z tobą na spotkanie w taki sposób. Będę tam.

– I to jak najszybciej. Zabierz wszystko, co możesz. Bez odbioru.

– Tu Reed. Zrozumiałem. Bez odbioru. Stanonik natychmiast wyłączył nadajnik.

– Trzy minuty – oświadczył, patrząc na zegarek.

– Nie wymawiaj mi tego czasu, później zapłacę ci za to połączenie – uśmiechnął się Rourke.

Podszedł do Natalii.

– John, nic nie rozumiałam.

– To doskonale.

– Dlaczego? – zdziwiła się.

– Skoro ty, która tyle czasu spędziłaś w tym kraju, nic nie rozumiałaś, to i inni Rosjanie niczego nie pojęli, o ile podsłuchiwali naszą rozmowę.

– A co ona oznaczała?

– Bardzo znany amerykański autor westernów umiejscawiał na tym obszarze akcje wszystkich swoich książek. W stanie Utah, Colorado, Arizonie i Nowym Meksyku. Te cztery stany stykają się granicami w jednym miejscu. To właśnie są te „cztery powody”, o których wspomniałem.

Rozdział XVII

Pułkownik Reed wspiął się na stopnie kościoła i przystając w jego portalu, spojrzął na parking, na ciemniejący horyzont, na zachodzące słońce. Czy już jutro nadejdzie zagłada?

– Pułkowniku, ludzie już czekają! – za jego plecami rozległ się głos sierżanta Dresslera.

– To dobrze, sierżancie.

Oficer odwrócił się i wszedł do świątyni. O krok za nim dziarsko maszerował Dressler. Pod koniec drugiej wojny światowej sierżant służył w dywizji pancerniej, walczył w Korei, potem został postrzelony w Wietnamie, a teraz – mimo swych sześćdziesięciu paru lat – znów przywdział mundur. „Gdyby więcej takich jak on służyło w naszej armii, to kto wie, jak by się potoczyły losy wojny” – pomyślał Reed.

Dotarli przed ołtarz. W pierwszej ławce siedziało dziesięciu ochotników.

– Baczość! – zakomenderował sierżant. Pułkownik potrząsnął głową.

– Nie, zostańcie na miejscach. Dobrowolnie zgodziliście się wziąć udział w tej akcji. Doktor Rourke nie wyjawiał jej szczegółów, obawiając się podawać je przez radio. Jednak często z nim rozmawiałem i mogę się domyślić, że Rosjanie dowiedzieli się o projekcie „Eden” i poczynili kroki mające na celu uniemożliwienie zrealizowania naszego projektu. Może jutrzejszego ranka, może za dwa, trzy dni zapłonie niebo, atmosfera zostanie zupełnie zniszczona i wszyscy zginiemy. Ale Sowietnicy musieli zbudować jakieś systemy umożliwiające im przetrwanie, zapewne w starych schronach pod górą Czejena.

Naszym celem będzie zniszczenie tej bazy, aby nikt z KGB nie przeżył zagłady i nie zniszczył naszych promów kosmicznych. Lepiej zginąć w walce z wrogiem niż wypalić się na popiół. Są pytania?

Miody człowiek uniósł rękę.

– Co jest, kapralu?

Podoficer wstał i odezwał się zakłopotany:

– Zrozumiałem wszystko, panie pułkowniku, ale co może działać dwunastu ludzi, takich jak my...?

– Co może dwunastu ludzi przeciwko potędze Związku Radzieckiego? Wszystko i nic, to zależy, za co się zabierzemy. A i Rourke ma ze sobą paru ochotników. Może to jakieś oddziały ruchu oporu, a może sprzymierzył się z bandą zwykłych rzezimieszków, nie wiem, nie powiedział tego przez radio. Wspólnie postaramy się zrobić to, co do nas należy. Mamy szansę ocalić świat od panowania zła. Nie wiem, w jaki sposób. Może Rourke dysponuje tą samą bronią, którą oni zniszczyli nasze miasta? – Spojrzął na zegarek. – Powinniśmy wyruszyć. Kto nie czuje dość sił, aby ze mną jechać, niech

pozostanie w kościele i pomodli się za tych, którzy pójdą.

– Sądzę, panie pułkowniku – odezwał się Dressler – że wszyscy pragną iść z panem. Ale może wyruszymy po chwili modlitwy? Niech ją pan zacznie.

– Lepiej, żebyś ty to zrobił, sierżancie. Nie znam się na tym zbyt dobrze.

– Niech pan spróbuje, pułkowniku.

Reed przytaknął, zamknął oczy i wolno powiedział:

– „Ojcze nasz, co władasz na niebiosach, pomóż nam poznać Twoją wolę i ją spełnić.

I pobłogosław nasze starania. Amen”.

Rozejrzał się po skupionych twarzach żołnierzy.

– Jak wspomniałem, nie mam zbyt wielkiego doświadczenia...

– To brzmiało wspaniale – odezwał się młody kapral.

– Więc w drogę!

Ruszyli ku wyjściu. Jeden z żołnierzy zaintonował pieśń:

– „Naprzód, żołnierze Chrystusa...”

– „... maszerujcie na świętą wojnę” – dołączył do niego Dressler.

Reed nie znał dobrze słów tej pieśni, wiedział też, że okropnie śpiewa, ale zawtórował swym żołnierzom...

– „... przeciwko nieprzyjacielowi. Na przód do bitwy, rozwińcie sztandary...”

Na skwerku przed kościołem czekał śmigłowiec Sikorsky UH-60 A.

Rozdział XVIII

Szli w zupełnych ciemnościach prowadzeni przez Emilię. Dziewczyna najlepiej знаła tę okolicę. Prócz niej towarzyszył im jeszcze Marty Stanonik i Tom Mause.

Do lotniska pozostało ćwierć mili. Weszli na opustoszały obszar farm północnego Illinois.

Radiooperator mówił ni to do siebie, ni to do swoich towarzyszy:

– Wiecie, przed wojną kupiłem sobie nowiutki dom, a jeszcze...

Mause dotknął jego ramienia.

– Wiesz, co myślę, Marty? – No?

– Już dawno opracowałem plan odbicia naszych żołnierzy, internowanych w chicagowskich obozach jenieckich. Obaj wiemy, że są tam okropne warunki, że Ruscy nie przestrzegają żadnych konwencji i umów. Nasi mrą jak muchy, jak robactwo... Szkoda, nie? Skoro pozostało nam tylko parę dni życia, postaramy się uwolnić ich jutro, aby mieli szansę polec honorowo, z bronią w ręku...

– Albo żebyście wy honorowo umarli z bronią w ręku – skwitował Rourke słowa Mause'a.

– O to też chodzi. Wolę, by wysłano mnie do krematorium po śmierci niż za życia. Ale chciałbym uwolnić moich rodaków. Skoro Amerykanie muszą umrzeć, niech nie umierają w niewoli!

– Skoro jesteście tacy zdecydowani – Amerykanin schylił się pod grubym konarem zagradzającym drogę – to prosiłbym was o jedną przysługę. Nie atakujcie głównej kwatery Rosjan. Zostawcie muzeum w spokoju, niech Warakow umrze w sposób, jaki sam sobie wybierze.

– Dobra, da się zrobić. Z tego, co major Tiemierowna opowiadała o swym wuju, wynika, że generał jest niezłym facetem...

– Bo i jest – poświadczył Rourke.

– A czy to nie bardziej śmieszne – dodał Mause – że my także byliśmy niezłymi facetami, a przez tyle lat walczyliśmy osobno?

Rourke nie miał już nic do dodania.

Rozdział XIX

Sarah prąta dzinsy męża, słuchając odgłosów dobiegających z wielkiej sali. Dzieci grały z Pauliem w pokera, ogrywając go niemiłosiernie i śmiejąc się z jego nieudolnych zagrań.

Po chwili przybiegł Michael, aby pochwalić się, że wygrał od Paula trzysta trilionów dolarów.

Znów był radosnym, beztroskim dzieckiem, takim jak dawniej. Uśmiechnęła się do niego czule.

– Tylko ich zaraz nie wydawaj – ostrzegła. – Przydadzą ci się później.

Przeszła obok ich stolika, wynosząc na zewnątrz mokre pranie, aby je rozwiesić. Annie śmiała się z dowcipów Rubensteina i płoniła się, kiedy Paul nazywał ją śliczną dziewczynką.

Później Sarah przygotowała na elektrycznej maszynie obiad, upiekła szarlotkę z ostatnich jabłek znalezionych w zamrażarce, wypła drinka, posłuchała muzyki... John zgromadził w bibliotece wielką kolekcję płyt, od Beatlesów do Rachmaninowa.

Poczuła się kobietą! Przez ostatnie lata prawie o tym zapomniała. Nie chciała już stracić tego uczucia. Siedząc w wygodnym fotelu, zaczęła zastanawiać się nad własnym życiem. Ogarnął ją smutek. Martwiła się, czy jej mąż żyje i czy wróci do niej.

A wraz z nim jej rywalka, śliczna Rosjanka...

Sarah uśmiechnęła się do własnych myśli.

– Chyba zwariowałam! – szepnęła.

Rozdział XX

Lotnisko GRU zlokalizowano pośrodku żyznych pól. Władow wyciągnął krótkofalówkę i nadał przez nią sygnał kontrolny do personelu. Po chwili otrzymał odpowiedź.

– Wszystko w porządku, zaraz po nas przylecą – zakomunikował.

Pośrodku pola zabłyśły blade światelka, minutę później usłyszeli warkot samolotu.

– To po nas – wyjaśnił kapitan.

Rourke z zapartym tchem obserwował, jak pilot niewielkiego Beechcrafta pewnie sadza maszynę na ziemi, pomimo słabego oświetlenia oraz kiepskiej nawierzchni.

– Nieźle wyszkolony – pochwalił i pobiegł w kierunku kołującego samolotu. Chociaż ciążył mu kilkudziesięciokilogramowy ekwipunek, John pokonał stujardową odległość w kilkanaście sekund, nie zatrzymując się na odpoczynek.

Ciężko dysząc, dotarł do celu. Metalowe drzwiczki w kadłubie otworzyły się i stanął w nich wysoki, ryżawy mężczyzna. Wyciągnął ręce po pakunki Rourke'a.

– Ty jesteś tym amerykańskim doktorem, prawda?

– Tak – mruknął zapytany i podał mu swe karabiny. Dołączyła do niego Natalia.

– Znam was, towarzyszu. Jesteście kapitan Gorki!

– Tak, towarzyszo majorze! Doskonale zapamiętujecie twarze. Spotkaliśmy się raz w Moskwie.

– Miło was znów widzieć, kapitanie.

Pojawili się partyzanci amerykańscy i radzieccy komandosi.

– Na twoim miejscu, John, nie gadałbym tyle, tylko wsadzał tyłek do samolotu i zabierał się stąd.

Może KGB ma jakąś wtykę w GRU? – powiedział Mause.

– Właśnie to robię. – Doktor podał Gorkiemu plecak. – Kto jeszcze jest na pokładzie?

– Tylko ja i sierżant Druszik. Dokąd lecimy, doktorze?

– Powiem ci, jak już będziemy w górze. Dobrze, że potrafisz lądować w trudnym terenie, bo tam, dokąd lecimy, nie ma żadnego lotniska, nawet polowego.

Rourke odwrócił się do Mause'a.

– Tom, życzę ci szczęścia! Mam nadzieję, że uda ci się wykonać to, co zamierzasz.

– Skoro nie mamy nic do stracenia, to możemy odważyć się na wszystko. Nawet na wyzwolenie Chicago.

Doktor pożegnał się z nim i podał dłoń Stanonikowi.

– Miło, że cię poznałem. Życzę ci również jedynie szczęścia.

– Dzięki, przyda się bardzo, przynajmniej dopóki nie nastąpi koniec...

Uściskał Emilię.

– Bez twojej pomocy, madame, nie dotarlibyśmy tutaj tak szybko.

Nic nie odpowiedziała, tylko w milczeniu skinęła głową. Natalia serdecznie ucałowała w policzki obu partyzantów.

– Dziękuję wam za wszystko! Tobie także, pani Bronkiewicz!

– Niech cię Bóg błogosławi – odparła ciepło Emilia i oddalwszy się, zniknęła w ciemnościach.

Rozdział XXI

Cztery Rogi nie były wcale żartobliwym określeniem większego obszaru, lecz geograficzną nazwą miejsca, w którym rzeczywiście stykały się ze sobą granice czterech stanów. Przed wojną istniał w tym punkcie kamienny słup orientacyjny, zniszczony później przez bandytów, lecz każde amerykańskie dziecko wiedziało, gdzie znajdują się „Cztery Rogi”.

Typowy westernowy krajobraz, sceneria Dzikiego Zachodu. Szara, uśpiona pustynia, na której jakiś zwariowany olbrzym porozrzucił beładnie ogromne wapienne skały o najfantastyczniejszych kształtach.

Wylądowali pomyślnie, uszczerbek poniosły jedynie kaktusy, które nie dość szybko usunęły im się z drogi. Górki podtoczył samolot pod wielką pochyłą skałę i komandosi zamaskowali maszynę połamanymi roślinami.

Rozbili obóz. Rourke, oparty o chłodny kamień, nie mógł zmrużyć oczu. Oprócz niego nie spał jedynie Władow i dwóch wartowników, krążących wokół obozowiska. Natalia zasnęła z głową opartą o ramię Amerykanina, a on, nie chcąc jej budzić, zamarł w bezruchu.

Kapitan wstał ze swego posłania i przysiadł się do Rourke’a.

– Sądzę, że towarzyszka major bardzo kocha swego wuja – wyszeptał.

Doktor wolno przytaknął.

– I kocha ciebie. To widać w jej oczach. Oczy każdej kobiety odzwierciedlają jej uczucia i emocje, nawet jeśli ta kobieta jest majorem KGB.

– Wiem...

– Jacy oni są? – zapytał nieoczekiwanie Rosjanin. Rourke od razu domyślił się, kogo ma na myśli.

– Tacy sami jak my. Ale osobiście znam tylko jednego z nich.

– Tego pułkownika Reeda, o którym wspominałeś?

– Tak.

– Słyszałem już o nim wcześniej od naszego oficera kontrwywiadu. Pracował, zdaje się, dla CIA?

Amerykanin uśmiechnął się.

– Tak. To silny facet, ma duże poczucie humoru, lubi się śmiać, jest towarzyski i komunikatywny. Pracował dla wywiadu wiele lat przed wojną.

– Więc musi nienawidzić Rosjan – stwierdził Władow.

– Tak, nienawidzi ich z pasją. To chyba jedyne hobby, jakiego nie zarzucił.

– Wiesz, doktorze, to bardzo dziwne, ale ja także bardzo nienawidziłem Amerykanów. Dopiero

kiedy przybyłem do waszego kraju, uzmysłowiłem sobie, że właściwie nie widziałem żadnego Amerykanina i nie mam powodów, aby ich nienawidzić. Wciąż się zastanawiam, jak mogłem żywić uczucie wrogości do kogoś, kogo w życiu nie widziałem.

– Jeśli nie przestaniesz o tym myśleć, staniesz się pacyfistą, kapitanie. – Rourke zaśmiał się cicho, lecz natychmiast zamilkł, bo dziewczyna poruszyła się niespokojnie.

– Raczej niemożliwe, abym stał się pacyfistą. Walczyłem w Afganistanie, służyłem w siłach bezpieczeństwa stacjonujących w Polsce. Z armią radziecką podbijałem Stany Zjednoczone.

– Zapalisz?

– Z chęcią. – Rosjanin kiwnął głową.

– To wyjmij dwa papierosy. Mam je w prawej kieszeni bluzy. Nie chcę się ruszać, by nie zbudzić Natalii.

Kapitan spełnił prośbę Rourke'a, włożył w jego usta papierosa i przypalił go.

– Wiesz, że mną było podobnie. Żywiłem do was wyłącznie wrogie uczucia, dopóki nie spotkałem Natalii, nie uratowałem jej życia, a później ona uratowała życie mnie i mojemu przyjacielowi, Rubensteinowi...

– Ten Rubenstein jest Żydem? – W głosie Władowa wyczuwało się lekką niechęć.

– Tak – przytaknął Rourke, uświadamiając sobie, że kapitan mógłby podobnie okazać wzgardę Natalii, jako że i ona była pół-Żydówką, po matce...

– Wy, Rosjanie, nienawidzicie Żydów...

– Po prostu ich nie lubimy. A ty nienawidzisz Rosjan?

– Nie czuję wrogości do niej – Amerykanin wskazał na śpiącą dziewczynę – ani nie znajduję powodów, aby nienawidzić ciebie. A ty mnie?

– Też nie, oczywiście, że nie!

– To bardzo źle. – Rourke uśmiechnął się tajemniczo. Brwi Rosjanina uniosły się w zdziwieniu.

– Bo widzisz, skoro nie czujemy do siebie wrogości, to moglibyśmy sobie usiąść w tym miejscu i pogadać, jeszcze zanim zaczęła się ta parszywa wojna. Teraz to nie ma najmniejszego znaczenia.

– Masz rację, doktorze, mogliśmy pogadać, zanim się ta wojna zaczęła. Ale nasza rozmowa będzie miała znaczenie dla ludzi z projektu „Eden”. O ile uda nam się wykonać zadanie.

– Tak, byłoby miło, aby ludzie podróżujący promami dowiedzieli się, o czym rozmawialiśmy tej nocy, aby ich dzieci uczyły się na naszych błędach.

– Jestem pewien, że się nam powiedzie i będą o nas pamiętać.

– Masz jakiegoś papierosa, kapitanie? Moje się już skończyły.

Oficer kiwnął głową, wyciągnął złożoną papierośnicę i podał Johnowi Camela.

– To wasze – powiedział. – Palilem je już w Rosji, jeżeli tylko udało mi się kupić na czarnym rynku.

Rourke zaciągnął się dymem.

– Tylko nie wspominaj jej, że palilem. Zawsze radzę Natalii, by rzuciła ten nałóg, bo szkodzi jej zdrowiu.

– Mnie udało się rzucić palenie na dwa lata przed wybuchem wojny, ale kiedy wysłali mnie na front, znów zacząłem. Teraz to już nie ma żadnego znaczenia. Z całą pewnością nie umrę na raka.

– Tak, teraz to już nie ma najmniejszego znaczenia – powtórzył Amerykanin.

Usłyszeli warkot samolotu. Mógł to być jedynie Reed. Rourke spojrział na zegarek. Do wschodu słońca pozostała godzina. Może to ostatnia godzina ich życia? Strach było myśleć, że w tej chwili

Europa mogła już nie istnieć!

Zaciągnął się papierosem i pomyślał, czy ma to jakikolwiek sens, co się z nimi stanie za godzinę, ale w tej samej chwili Natalia leżąca na jego ramieniu poruszyła się niespokojnie i uznał, że jednak ma to jeszcze sens.

Rozdział XXII

Nie mogli połączyć się drogą radiową z kołującym samolotem, gdyż potężna stacja nasłuchowa KGB była zbyt blisko, lecz ludzie Władowa ustawili się w prostej linii z zapalonymi pochodniami, wytyczając najodpowiedniejszy teren do lądowania. Nim upłynęło pięć minut, samolot osiadł na ziemi.

Szum silników zbudził Natalię. Wraz z Rourke'em poszła do znieruchomiałej ciemnej maszyny. Otworzyło się jedno z okrągłych okienek i ukazała się w nim uśmiechnięta twarz pułkownika Reeda.

– Powinienem się domyślić, że będzie z tobą – zawołał oficer wywiadu, dostrzegając dziewczynę. – Co jest, John, stała się twoją maskotką?

– Raczej talizmanem – odparł doktor.

– Miło cię widzieć ponownie, pułkowniku Reed – powiedziała Tiemierowna.

Z ciemności wyłonił się Władow i stanął za jej plecami.

– Ten to chyba nie Rubenstein. Jest wyższy od Paula... Zatrudniliście nową niańkę?

– Udało mi się odnaleźć Sarah i dzieci. Paul dostał postrzał w rękę i został wraz z nimi w Schronie – wyjaśnił Rourke.

– Gratuluję owocnych poszukiwań, ale czemu, do cholery, nie spędzasz swych ostatnich dni z rodziną?

– Wiesz dobrze, Reed, że mamy jeszcze trochę do zrobienia.

Oczy pułkownika zdążyły się przyzwyczaić do mroku otaczającego samolot i dostrzegły mundur Władowa. Z uznaniem pokiwał głową.

– Inteligentne przebranie, ten facet wygląda jak prawdziwy kapitan sowieckich komandosów!

– Pułkowniku Reed, kapitan Władow oddaje siebie pod pańskie rozkazy! – Rosjanin wyprężył się salutując.

Amerykański oficer osłupiał... Władow trzymał dłoń przy skroni.

– Nie jestem w pełni umundurowany do oddawania honorów – mruknął zgryźliwie Reed.

Władow trzymał dłoń przy daszku czapki.

– O kurwa! – szepnął pułkownik do siebie i Rourke uśmiechnął się.

– Dobrze wiedzieć, że jesteś w świetnym humorze, staruszkule!

– Przyniańczyłeś więcej Ruskich prócz tych dwoje?

– Trzynastu żołnierzy otacza lądowisko – odezwała się dziewczyna. – Ścisłej mówiąc, jeden młodszy oficer radzieckich oddziałów specjalnych, dziesięciu żołnierzy i dwóch ludzi GRU.

– Ach, cholernie cudownie! Co jest, John, wchodzimy w układy z komunistami?

– Nie, wchodzimy w układy z czternastoma ludźmi przedkładającymi dobro ludzkości nad

marksistowską dialektykę. Jeśli nie możesz tego strawić, to zabieraj swój tyłek z powrotem! Sami zajmujemy się akcją „Łono”.

– Akcją „Łono”? – zdziwił się Reed.

– Tysiąc komandosów z KGB, tysiąc młodych, zdrowych kobiet i około setki personelu.

Wspomniał ci Chambers o komorach kriogenicznych?

– Tak, coś mi mówił...

– Więc oni je mają. KGB posiada także broń mogącą w mgnieniu oka rozwalić promy kosmiczne w proch. Dołączą do nich członkowie Politbiura i wspólnie zrobią siusiu, paciorek i lulu... na całe pięćset lat. Potrafisz sobie sam dopowiedzieć, co zrobią, gdy się obudzą.

– Przywiozłem ze sobą tylko jedenastu ochotników. Cóż, kiedy zaczynamy?

– Zaraz rozkażę żołnierzom, aby ściągnęli maskowanie z naszego samolotu – oświadczył

Władow.

Głowa Reeda zniknęła, a z wnętrza kadłuba rozległ się tubalny głos pułkownika:

– Dressler, niech dwóch ludzi idzie pomóc Rosjanom. Tiemierowna ścisnęła dłoń Rourke’a.

– Tak, dziecino – pogłaskał ją delikatnie po twarzy – zaczyna się ostateczna rozgrywka!

Rozdział XXIII

Wylądowali w małej dolince położonej o dwie mile od bazy KGB w górze Czejena. Zamaskowali samoloty i ruszyli przez górskie przełęcze w stronę kompleksu umocnień. Niebo jaśniało, przybierając zielonkawy odcień. Powietrze było chłodne i czyste, oddychało się nim z przyjemnością.

Dotarli na najbliższy szczyt i ujrzeli horyzont. Na wschodzie pojawiła się biała poświata.

– Jeżeli ukażą się płomienie, za minutę umrzemy – szepnął Rourke do Natalii.

– Gdyby tak się stało, to będę cię kochać i po śmierci! – odparła.

Wszyscy znieruchomieli, przypatrując się widnokręgowi. Nad nimi przeleciała błyskawica, huknął blisko grom, przesywając ich serca dreszczem niepokoju.

Rourke pomyślał o swej żonie i dzieciach. Przecież oni nic nie wiedzieli o nadchodzącej zagładzie. Nieświadomi niczego, mogli każdego ranka wychodzić ze Schronu na powierzchnię, pozostawiając włazy otwarte, aby przyjrzeć się wschodowi słońca.

Gdyby tak uczynili, nie byłoby dla nich ratunku!

Gdyby pozostali w hermetycznie zamkniętym schronie, także nie byłoby dla nich żadnego ratunku! Przeżyliby w nim najwyżej parę tygodni, może miesięcy, aż wyczerpałyby się zapasy tlenu i albo zadusiliby się, albo popełniliby samobójstwo, wstrzykując sobie którąś z trucizn zgromadzonych w apteczce.

W obu przypadkach nigdy by się z nimi nie połączył...

Objął Tiemierownę ramieniem, mocno tuląc dziewczynę do siebie.

Znad widnokręgu wynurzył się skrawek słońca. Lecz wokół słonecznej tarczy nie pojawił się ogień. Ten ranek nie zwiastował jeszcze zagłady Ziemi!

– To wstaje zwykły dzień – szepnęła.

– Tak, kolejnych kilkanaście godzin podarowanych przez Opatrzność – potwierdził John.

Któryś ze stojących w tyle Amerykanów zaczął się głośno modlić.

Rozdział XXIV

Pułkownik Roźdiestwieński patrzył jak zahipnotyzowany w ekran radaru. Migocące punkciki przybliżały się nieustannie do środka tarczy... Samolot pasażerski i sześć mniejszych jednostek, zapewne myśliwców.

„Najwyższy czas, aby przybyli – pomyślał. – Najwyższy czas, aby wypróbować system broni dalekiego rażenia”.

Samoloty przybliżyły się na odległość dziewięćdziesięciu kilometrów.

Pułkownik odwrócił się do swojego adiutanta, majora Rewnika i rozkazał:

– Towarzyszu majorze, zarządzcie pełną gotowość bojową.

– Ależ, towarzyszu pułkowniku, my...

– To rozkaz!

Rewnik, przestraszony ostrym tonem przełożonego, oddalił się wykonać polecenie.

Roźdiestwieński podszedł do żołnierza obsługującego pulpit kontrolny.

– Sierżancie, przekażcie wieży, aby przeprowadziła zwykłą procedurę przyjęcia lotu. Niech zawiadomią samolot Politbiura, że wszystko jest gotowe na ich przyjęcie.

Podoficer połączył się z wieżą lotniska. Powrócił adiutant.

– Systemy włączone, towarzyszu pułkowniku.

Tak, teraz wszystko było już gotowe do należytego przyjęcia członków Politbiura i Komitetu Centralnego... Samoloty przybliżyły się na sześćdziesiąt pięć kilometrów.

– Mam ich na prowadzeniu, towarzyszu pułkowniku – oświadczył sierżant obsługujący pulpit kontrolny. – Podążam za nimi. Oczekuję dalszych poleceń.

Pułkownik zerknął na ekran komputera, sprawdzając, czy współrzędne naprowadzające są właściwe.

– Tak trzymać, sierżancie. Podniósł mikrofon z pulpitu.

– Tu mówi pułkownik Roźdiestwieński. Do centrum ogniowego. Włączyć system na sygnał zero. Zaczynam odliczanie. Dziesięć... dziewięć...

Cele były już o niecałe pięć kilometrów.

– ...trzy... dwa... jeden! Włączyć laser!

Na pulpicie zabłyśły trzy czerwone kontrolki.

Pułkownik podskoczył do ekranu, na który obraz przekazywała kamera umieszczona na szczycie góry. Ujrzał eksplodujący jeden z myśliwców i deszcz płonących odłamków opadających na ziemię. Ekran zamigotał i zgasł.

– Straciliśmy kamerę, towarzyszu pułkowniku – zakomunikował sierżant.

Radar wskazywał pustą przestrzeń powietrzną wokół bazy. Pułkownik wybuchnął śmiechem.

– Tak, sierżancie, straciliśmy naszą kamerę, ale zyskaliśmy o wiele więcej!

Nie miał już nad sobą żadnych zwierzchników i przekonał się, że działo laserowe odznaczało się stuprocentową skutecznością. Kiedy za pięćset lat pojawią się amerykańskie promy, „powita” się je tak samo, jak członków Politbiura!

Przyszły władca całej planety mógł poczuć się usatysfakcjonowany.

Rozdział XXV

– O kurwa, co to jest? – zawył ze strachu Reed, padając na ziemię. Pozostali poszli w jego ślady, kuląc się pod ognistym deszczem. Leżeli nieruchomo, aż nie umilkł przeciągły grzmot.

– Co to było? – Pułkownik uniósł się na rękach, przypatrując się niebu. – Przecież wciąż żyjemy...

– To nie było iskrzenie zjonizowanego powietrza – powiedział Rourke. – To efekt działania broni laserowej.

– Też sobie znaleźli odpowiednią chwilę do przeprowadzania eksperymentów!

– To nie była zwykła próba – odezwał się Władow. – Zdaje mi się, że na chwilę przed wybuchem słyszałem odgłos kilku samolotów odrzutowych...

– Ktoś ich zaatakował? – zdziwił się Reed. – Z całą pewnością to nie były siły Chambersa!

– Nikt ich nie zaatakował. – Natalia zatkała nos i nadeła policzki. Pozbywała się w ten sposób przykrego szumu w uszach, spowodowanego falą detonacyjną. – Mój wuj to przewidział. Roźdiestwieński pozbył się właśnie konkurentów. Rozwalił najwyższe kierownictwo Związku Radzieckiego! Pozabijał ich wszystkich: premiera, ministrów, członków Politbiura, naczelne dowództwo KGB.

– Nie mogę w to uwierzyć – szepnął kapitan. Tiemierowna powstała, otrzepując się z piasku.

– Uczynił to, żeby być jedynym panem przyszłej Ziemi. Samodzierzcą, jak mawiamy my, Rosjanie.

– A to kutas! – mruknął Reed. – Wcale mu się nie dziwię, tej bandzie czerwonych należała się kara śmierci za napaść na Stany Zjednoczone. O, przepraszam – dodał pułkownik zażenowany, widząc nieżyczliwe spojrzenia Rosjan.

– Ja nie cierpię takich dupków, którzy chcą wszystkimi rządzić – oświadczył jeden z amerykańskich żołnierzy. – Powinniśmy dopaść tego gnojka i dobrać mu się do skóry!

– Kapral dobrze powiedział – przyświadczył Rourke. – Powinniśmy dopaść Roźdiestwieńskiego. Reed i Władow, wyznaczcie paru sprawnych i cichych ludzi. Dokonam z nimi małego rekonesansu.

– Ja się tym zajmę, pułkowniku – odezwał się Dressler.

– Dobrze, sierżancie, zdaję się na was.

– Zdaje się – powiedział cicho kapitan – że kochany towarzysz Roźdiestwieński stworzył z nas jeden oddział, nie?

Reed przytaknął.

– W końcu niemożliwe okazało się możliwym!

Rozdział XXVI

Górę Czejena przemieniono w niedostępną twierdzę! Jeszcze przed wojną, zanim zajęli ją Rosjanie, góra ta stanowiła trudno dostępną bazę lotnictwa USA, ale to, czego dokonali inżynierowie KGB, przeszło najgorsze oczekiwania Rourke'a.

Na skalistym szczycie wznosiła się stalowa kopuła, podobna nieco do obserwatorium astronomicznego, wsparta na czterech ogromnych dźwigarach. Pod hermetycznie zamykanym dachem znajdował się akcelerator laserowy, który po odsłonięciu dachu i podniesieniu na specjalnym dźwigu mógł być skierowany w dowolną stronę.

Z informacji Warakowa wynikało, że zbocza poniżej kopuły były zaminowane.

U stóp góry widniały wielkie wrota wiodące do jej wnętrza, po przeciwnej stronie wykuto nieco mniejsze wejście. Do obydwu prowadziła szeroka rampa. Bazę otaczały zapory z drutu kolczastego pod wysokim napięciem, szerokie na pięćdziesiąt jardów pole minowe i kolejny płot kolczasty pod napięciem, za którym znajdowała się ścieżka dla strażników. Ostatnią linię umocnień stanowił wysoki na osiem stóp mur. Cały teren naszpikowano czujnikami i kamerami telewizyjnymi. Trzyosobowe patrole okrążały bazę w trzyminutowych odstępach. Strażnikom towarzyszyły wielkie dobermany i owczarki alzackie.

We wschodniej stronie góry, w obrębie umocnień znajdowało się lotnisko. Hangary wykuto w skale. Zamknięto je tytanowymi, odpornymi na wysoką temperaturę i ciśnienie wrotami. Wokół lotniska widniały liczne stanowiska obrony przeciwlotniczej.

Rourke przypuszczał, że Roźdiestwieński nie zna dokładnej daty katastrofy. Skąd miałby ją znać, skoro wiedział o niej jedynie Stwórca – Niszczyciel... Musiał przyjąć, że w związku z tym od zachodu do wschodu słońca baza KGB jest hermetycznie zamknięta. Wykluczało to nocny atak. Szturm w dzień byłby samobójstwem. Co pozostawało...?

– Sądząc po twojej minie, uważasz za niemożliwe dostanie się do środka, co, John? – szepnęła leżąca obok Rourke'a Natalia.

Doktor odłożył lornetkę, którą lustrował pozycje wroga, wziął głęboki oddech i zaczął:

– To jest najbardziej niedostępne miejsce na świecie, jakie widziałem! Nie możemy się tam wślizgnąć, przebić, wlecieć ani też nie możemy wysadzić tej fortecy. Ani tym bardziej czekać do nocy, bo wtedy wszystkie bramy zostaną zamknięte. Nie możemy także dokonać ataku z powietrza, bo po pierwsze: jeden samolot nie zadrapie nawet skrywającej go kopuły, a po drugie: natychmiast, jak nadlecimy, namierzą nas ich radary i rozwalą, zanim zdążymy powiedzieć „a kuku”. Gdybyśmy mieli tysiąc samolotów pilotowanych przez kamikaze, każdy z atomową bombą na pokładzie, to może dałoby jakiś efekt...

– A jeżeli wcześniej system laserowy zostanie ustawiony na inny cel?

– Dziecino, oni zmienią namiar w sekundę! Zresztą, gdyby udało się nam uszkodzić w jakiś sposób broń laserową, to ludzie Roźdiestwieńskiego będą mieli kilkaset lat na jej naprawę! Jeżeli nie zniszczymy kapsuł narkotycznych, tysiąc komandosów KGB poradzi sobie bez trudu ze stu czterdziestoosobową załogą promów, składającą się jedynie z naukowców i techników. Nawet bez lasera.

– Może promy wylądują poza zasięgiem ich systemów obronnych?

– Wczuj się w rolę dowódcy kosmicznej eskadry, który zupełnie nie będzie wiedział, co się tu wydarzyło. Co uczyni najpierw, powracając na Ziemię?

– Wyśle jeden z promów na zwiad?

– Blisko.

– Postara się wykryć jakieś źródło emitujące fale radiowe, zwiastujące pozostałości cywilizacji?

– Bingo! A jedyne takie źródło będzie tu, w górze Czejena. Aby temu przeszkodzić, musimy zniszczyć te cholerne komory, przywłaszczając sobie uprzednio kilka na prywatny użytek.

– To niemożliwe... – Jej oczy rozszerzyły się w zdziwieniu. – Sam mówiłeś...

Rourke uśmiechnął się bez troski.

– Zaistniała sytuacja skłania nas do wykonania czegoś absolutnie desperackiego.

– Jakie będziemy mieli szansę na sukces?

– Takie, jakie uda nam się wywalczyć!

Ponownie przyłożył lornetkę do oczu i zwrócił ją na drogę wiodącą do bazy KGB.

Wiedział, że mają jedną, jedyną szansę, ale jakie było prawdopodobieństwo, że akcja się powiedzie?... Tego jednego nie mógł przewidzieć.

Rozdział XXVII

Roźdiestwieński z uśmiechem przyglądał się pistoletowi leżącemu na blacie mahoniowego biurka. Nie sądził, aby istnieli jeszcze jacyś wrogowie, przeciwko którym musiałby go użyć.

On, Nehemiasz Roźdiestwieński, będzie rządzić światem! To, co było jedynie snem Aleksandra, Cezara, Napoleona i Hitlera, stawało się wreszcie jawą!

Długi sen w oparach gazu narkotycznego nie powinien ujemnie wpłynąć na stan zdrowia jego ludzi. Wkrótce po przebudzeniu zaczną się rozmnażać. Z każdym kolejnym rokiem będzie ich przybywało.

Ojciec pułkownika dożył siedemdziesięciu trzech lat, matka wciąż żyła, dawno przekroczywszy osiemdziesiątkę. Dziadkowie doczekali setnych urodzin. Pochodził z rodziny mającej w genach zapisaną długowieczność. Może i on dożyje lat swoich dziadków? Miał na to sporo szans, wystarczyło jedynie dbać o kondycję. Choroby mu nie groziły. Roześmiał się.

Ogień wraz z atmosferą wypali mikroby, wirusy, bakterie, prątki, gronkowce, ameby i całe to świństwo. Pozostaną na ziemi jedynie Rosjanie i zamrożone przez profesora Złowskiego zwierzęta.

Będzie żył w świecie bez infekcji, katarów, epidemii. Czyż nie opłaciły się wszystkie trudy, które poniósł? Spojrzał w lustro i zobaczył w nim twarz Boga. To była jego własna twarz.

Rozdział XXVIII

Drogę prowadzącą do bazy KGB kontrolowały cztery łaziki uzbrojone w karabiny maszynowe LMG. Załogę każdego wozu stanowił kierowca oraz dwóch żołnierzy. Od czasu do czasu w stronę schronu sunęły wolno konwoje składające się z ośmio – i dwunastokołowych ciężarówek.

– Muszą nimi zwozić cholernie ciężki towar – zawyrokował Reed. On, Władow, Natalia i Rourke, skryci wśród skalnych iglic, bacznie obserwowali drogę.

– Zgadzam się z doktorem, że moglibyśmy dostać się do strefy umocnień razem z konwojem – powiedział kapitan.

– Mamy dwunastu ludzi w radzieckich mundurach; więcej, oni są prawdziwymi Rosjanami. To nie byłoby chyba podejrzane, gdyby spróbowali zatrzymać jeden z patrolowych łazików...

– Towarzyszka major ma rację – podchwycił Władow pomysł Tiemierownej. – Możemy udawać zagubiony oddział.

– Ci, co strzegą konwoju, widząc ludzi w uniformach oddziałów specjalnych, mogą zwiększyć czujność. Wiadomo, że wy i KGB od dawna rywalizowaliście o wpływy w wojsku – zauważył pułkownik.

– Ale będą całkiem ufni, widząc mundury KGB – uśmiechnął się Rourke.

– A skąd je weźmiesz?

Doktor popatrzył na szosę, którą przejeżdżał patrolowy łazik.

– Aha, rozumiem... Najpierw podejmiemy patrol, a później – konwój.

– Zrobimy dokładnie, jak powiedziałeś, Reed. Kapitanie Władow, chyba porucznik Daszroziński zechciałby zająć się strażnikami?

– Oczywiście, doktorze.

– Wtedy trzech twoich ludzi przebierze się w mundury KGB i zatrzyma konwój, zaś my zajmiemy się resztą.

– Zapewne lepiej użyć noży niż pistoletów – podpowiedział pułkownik.

– Ale można przy tym pobrudzić mundury krwią – zauważyła Natalia.

– Trudno, ryzyko zawodowe! Lepiej nie używać broni palnej, by nie zaalarmować przypadkiem innych patroli – zakończył Rourke powyższą kwestię. – Dla ciebie, Natalia, mam równie ważne zadanie. Wraz z ludźmi pułkownika Reeda udasz się w dół drogi i wypatrzysz jakiś mały, słabo strzeżony konwój i szybko nas o nim powiadomisz. Wszyscy zgadzają się na mój pomysł?

Nie było sprzeciwów.

– No, to w drogę!

– Powodzenia, kapitanie – powiedział Reed do Rosjanina.

– Wzajemnie, pułkowniku – odparł Władow.

Rozdział XXIX

Reed pozostał z Johnem, dowództwo nad Amerykanami objął sierżant Dressler. Obecność Rosjanki ani mu nie przeszkadzała, ani go nie deprymowała. Traktował ją jako jeszcze jednego członka swego oddziału.

– Powiedz mi, sierżancie – zapytała, maszerując obok starszego podoficera – co robiliście przed wojną?

– Nic ciekawego, pani major, zajmowałem się rolnictwem, pracowałem na farmie moich dzieci, pomagałem żonie, niańczyłem wnuki. Byłem zatrudniony na pół etatu w warsztacie mechanicznym, bo z samej roli ciężko było wyżyć. Ale zawsze czułem się bardziej żołnierzem niż rolnikiem czy mechanikiem. A pani kim była przed wstąpieniem do KGB, pani major?

– Jakie to się teraz wydaje zabawne – uśmiechnęła się Tiemierowna. – Studiowałam na politechnice, jestem inżynierem elektroniki. Chodziłam także przez wiele lat do szkoły baletowej.

– Nigdy nie widziałem prawdziwego baletu. Jedna z moich córek, będąc dzieckiem, ćwiczyła w szkolnym kółku baletowym, ale nic jej z tego nie wyszło. A pani musiała być śliczną baleriną!

– Dziękuję, sierżancie, za komplement. Nie odniosłam większych sukcesów na scenie, za to moje baletowe przygotowanie bardzo przydało się w nauce sztuk walki. Przecież kung-fu, akido czy taekwon-do bardzo przypomina taniec.

Przez chwilę maszerowali w milczeniu.

– Nie uważa pani, pani major – odezwał się szeptem mężczyzna – że należałoby się teraz pomodlić w naszej intencji? Aby powiodło się nam to, co zamierzamy?

Wolno przytaknęła.

– Na końcu pozostanie nam jedynie modlitwa... – zauważyła.

W szkole wywiadu nie uczono jej religii, dlatego musiała zdać się na intuicję. Modlitwa nie była wcale taką prostą rzeczą!

Rozdział XXX

Kapitan Władow zszedł na drogę. Za nim maszerowali jego ludzie, rozgadani, zachowujący się swobodnie, z pozoru beztroscy. Byli przecież na własnym terytorium, kontrolowanym przez siły KGB, czegoż więc mieli się obawiać? Postronnemu obserwatorowi mogłoby się wydawać, iż rzeczywiście zmylili swą marszrutę i zgubili się w nieznanym terenie.

Oficer podniósł dłoń, nakazując żołnierzom zatrzymać się na chwilę.

– Trzymajcie broń w pogotowiu, ale jej nie odbezpieczajcie. Lepiej, aby ci z KGB nie zauważyli niczego podejrzanego. Niech nikt nie strzela, chyba że na mój specjalny rozkaz. A teraz spokój!

Ruszyli w dalszą drogę. Władow wsunął dłoń pod połą munduru i szybko wydobyl spod niej Walthera pożyczonego mu przez Natalię na czas akcji. Czynność tę powtórzył trzykrotnie, upewniając się, że pistolet tkwi luźno i łatwo go można wyciągnąć.

Pierwszym celem powinien być strzelec obsługujący karabin maszynowy. Jeżeli jego ludzie nie unieszkodliwią pozostałej dwójki, wtedy zdąży zwrócić broń przeciwko nim.

Wiedział, że komandosi nigdy nie zabijali swoich rodaków, ale liczył na ich zdyscyplinowanie.

Przystanął na chwilę i odwrócił się do nich raz jeszcze.

– Uwaga, powiem tylko raz! Sprawa, dla której walczymy, jest sprawą ludzkości! Działamy zgodnie z duchem naszej partii i naszej ojczyzny. Celem prawdziwych komunistów było zawsze słuzenie prostym ludziom, niesienie im pomocy, wybawianie ich z opresji. Lecz ci z KGB nie byli komunistami, choć za takich się uważali. Są zwykłymi barbarzyńcami, mordercami i dlatego powinni zostać zlikwidowani. Nie będziemy teraz zabijać naszych towarzyszy i braci, lecz wrogów, o wiele groźniejszych od wszystkich pozostałych nieprzyjaciół, bowiem są to wrogowie pochodzący z naszego narodu, w których żyłach płynie ta sama krew! Ale nie zważajcie na to. Na jednego z nas będzie przypadać czterdziestu ludzi. Na to także nie zważajcie. W końcu jesteśmy oddziałem specjalnym. Jesteśmy najlepsi! Udowodnijmy to i spełnijmy naszą misję. Od tego zależy nasz honor!

Władow, skończywszy przemówienie, sprawdził raz jeszcze, jak szybko można wyciągnąć broń spod munduru.

Rozdział XXXI

Na szczycie piętrzących się nad drogą skał leżeli w ukryciu dwaj Amerykanie. John zamarł w pozycji strzeleckiej, z okiem przytkniętym do lunety, z lufą karabinu skierowaną w dół. Wiedział, że jest ostatnią „deską ratunku”. Gdyby Władowowi źle poszło, wtedy on miał wkroczyć do akcji, likwidując żołnierzy patrolu. Istniała przecież możliwość, że strażnicy mogą przeczuć niebezpieczeństwo albo też mają odgórne rozkazy, aby bez względu na wszystko nie zatrzymywać pojazdu.

– A gdzie, u diabła, podziałeś swój własny snajperski karabin? – zapytał leżący obok Reed.

– Zostawiłem w samolocie. Był cholernie ciężki, a nie przypuszczałem, że będę zmuszony walczyć z dystansu. Szczęściem, Rosjanie mieli dragunowa.

– To dobra broń?

– Nigdy jeszcze z niej nie strzelałem. Nie lubię półautomatycznych karabinów. Ale ma zasięg do ośmiuset metrów oraz doskonałą lunetę. A teraz bądź cicho i pozwól mi się skoncentrować.

Wkrótce powinna pojawić się Natalia z wiadomością o nadciągającym konwoju. Już niedługo na drodze marszu Władowa powinien pojawić się patrolowy łazik... Nagle Johnowi przypomniał się Paul zaczajony wśród skał w zasadzce na bandytów rabujących cywilną ludność. Jakże to było niedawno...

W zasięgu wzroku pojawił się samochód. Doktor wyregulował ostrość soczewki i z bliska przyjrzał się twarzom strażników. Typowi Rosjanie o dalekowschodnich rysach. Tylko w oczach strzelca malowała się ogromna podejrzliwość. On już zauważył maszerujący drogą oddział komandosów.

Rozdział XXXII

Władow stanął pośrodku szosy, wyciągając rękę do góry.

– Stać! – zawołał.

Kierowca zredukował szybkość samochodu i wolno podjeżdżał w kierunku oficera.

Za trzydzieści sekund zbliżą się na tyle, że kapitan będzie mógł oddać celne strzały...

Jednak łązik stanął w pewnym oddaleniu. Komandosi wolno podeszli do wozu.

– Potrzebujemy informacji – zawołał oficer do kierowcy. – Szukamy jednego specjalnego konwoju, do którego mieliśmy tu dołączyć. Powinni przejeżdżać tą drogą parę minut temu...

– Tak, panie kapitanie, widzieliśmy kolumnę ciężarówek – odpowiedział żołnierz siedzący obok kierowcy. – Ale nie wyglądała na wyjątkowy oddział.

– To wielka szkoda, nie? – Władow błyskawicznie wsunął rękę pod mundur. Kierowca pojazdu puścił pedał hamulca, kręcąc mocno kierownicą, a siedzący obok mężczyzna odbezpieczył Kałasznikowa. Strzelec złapał za uchwyt karabinu maszynowego, kierując go na drogę...

Lecz nie zdążył go uruchomić. W chwili, gdy miał pociągnąć za spust, dwie kule z Walthera strzasknęły mu skroń tuż za prawą brwią.

Daszroziński dopadł żołnierza z Kałasznikowem, kopnięciem podbił broń i podciął mu gardło. Trzech komandosów rzuciło się na kierowcę, ale wóz na pełnych obrotach ruszył z miejsca.

Władow spokojnie wymierzył. Trzykrotnie pociągnął za spust, posyłając kule w plecy i kark uciekającego. Ten wyprężył się z krzykiem i opadł na kierownicę, skręcając ją ciężarem ciała. Samochód zjechał na pobocze i zatrzymał się na stoku.

Kapral Razawitski wyrzucił zwłoki z pojazdu i sprowadził go na szosę. Kapitan zerknął na zegarek. Do przejazdu następnego patrolu pozostało osiem minut.

– Szybko, ich mundury! – zawołał do swych podwładnych. – Mamy mało czasu, towarzysze!

Rozdział XXXIII

Rourke uważnie obserwował to, co działo się w dole. Już miał przestrzelić oponę uciekającego samochodu, kiedy Włodowowi udało się zakończyć całą sprawę. Obaj Amerykanie odetchnęli z ulgą.

Chwilę później pojawił się wysłany przez Natalię człowiek z wiadomością o nadciągającym konwoju.

– Będą tu za dziesięć minut, doktorze. Trzy ciężarówki i dwa motory.

– Odpocznij trochę i dołącz do nas później – powiedział Rourke do gońca. Włożył dragunowa pod pachę i zaczął zsuwać się w dół. Za nim ruszył Reed, trzymając w obu dłoniach karabiny M-16. Własny i Johna.

Nim dotarli do komandosów, trzech Rosjan przebrało się już w mundury KGB, inni zaciągnęli zwłoki na pobocze i skryli je wśród karłowatych sosen.

W oddali ukazał się oddział biegnących żołnierzy amerykańskich, prowadzony przez Natalię.

Doktor był pełen optymizmu. Widział, że wszystko przebiegało zgodnie z planem i czuł, że mają wielką szansę wdrzeć się do bazy w górze Czejena.

„Krok po kroku i dojdziemy!” – pomyślał.

Rozdział XXXIV

Dwóch żołnierzy amerykańskich i dwóch radzieckich wysłano na skały wraz z bagażami i bronią palną. W napadzie, który zaplanowali, broń tylko by im przeszkadzała. Jedyne Natalia otrzymała z powrotem swojego Walthera, innym miały wystarczyć noże i własny spryt.

Na szosie zostali tylko komandosi przebrani za funkcjonariuszy KGB. Reszta, podzielona na dwa oddziały, przyczaiła się po obu stronach drogi.

Czekali.

Rourke miał ochotę odesłać Tiemierowną na tyły, ale wiedział, że Natalia i tak go nie posłucha. Zresztą potrafiła walczyć lepiej niż niejeden mężczyzna. Czekali w nerwowym podnieceniu. Wydawało im się, że sekundy rozciągają się w minuty, a te w godziny.

Obok przejechał kolejny łązik. Zatrzymał się przy komandosach, ale Daszroziński udawał, że jego wóz złapał gumę i patrol pojechał dalej.

Rourke poruszył się, prostując zeszywniałe mięśnie. Wtedy usłyszał szum silników, a po chwili zza zakrętu wyłoniła się kolumna pojazdów. Zamykał ją i otwierał motocykl z doczepionym koszem, w którym umieszczono karabin maszynowy. W centrum znajdowały się trzy ciężarówki, pochodzące z magazynów armii USA. Rosjanie nie pofatygowali się nawet, aby zetrzeć z nich amerykańskie znaki wojskowe!

Rozległ się metaliczny szmer. To Dressler wyciągnął z pochwy nóż. Z nożem na karabiny!

Daszroziński zagroził drogę, zmuszając pojazdy do zatrzymania się.

– Muszę porozmawiać z dowódcą – zawołał. – Mamy pewne kłopoty i musicie okazać swoje dokumenty!

Rourke nadstawił uszu...

Z pierwszej ciężarówki rozległ się czyjś głos:

– Ja dowodzę tym konwojem, kapralu. – Z szoferki wyskoczył oficer KGB. – Co ma znaczyć to zatrzymanie? Materiały, które wieziemy, są przeznaczone do realizacji planu „Łono”. Mamy w dokumentach przewozowych klauzulę najwyższego uprzywilejowania!

– Przykro mi, towarzyszu majorze, ale muszę sprawdzić wasze papiery. To polecenie wydał osobiście pułkownik Roźdiestwieński.

– To absurd... – Starszy oficer sięgnął do ciężarówki po żółtą teczkę oznakowaną czerwonym paskiem.

– Jakie macie kłopoty?

– Bardzo poważne, towarzyszu majorze. – Porucznik wraz z dwoma żołnierzami zbliżył się do samochodów. – Bandycka grupa złożona z Amerykanów i radzieckich renegatów przygotowuje atak

na konwój materiałów przeznaczonych dla bazy, aby wraz z nim wdrzeć się do schronu Czejena i przeszkodzić planom naszych przywódców.

– To straszne, trzeba ich powstrzymać...

Trzej komandosi byli już przy pierwszym motocyklu.

– Nie, towarzyszu majorze, oni nie mogą zostać powstrzymani, przynajmniej nie przez nas...

– Teraz! – krzyknął Rourke, wybiegając zza skał i pędząc do pojazdów. Władow był szybszy.

Wyprzedził doktora i pierwszy dopadł nieprzyjaciela. Wskoczył na maskę ciężarówki. Potężnym kopnięciem w głowę powalił na ziemię majora KGB.

John podbiegł do żołnierza wyglądającego oknem. Nim tamten zdążył się skryć w kabinie, już miał poderżnięte gardło. Amerykanin szarpnął za drzwi, zrzucając z siedzenia nieboszczyka, i wskoczył na jego miejsce.

Kierowca ciężarówki chwycił leżącego na tablicy rozdzielczej kolta, wycelował w napastników i pociągnął za spust.

Rourke, skrępowany ciasnotą kabiny, nie miał szans na unik, nie mógł też wytrącić pistoletu z rąk żołnierza. Odruchowo zrobił jedyną rzecz, jaka mu błyskawicznie przemknęła przez myśl – włożył swój serdeczny palec między cyngiel a spłonkę. Stalowy młoteczek wbił się w jego ciało, o mało nie miażdżąc kości, lecz broń nie wypaliła.

Szofer otworzył usta w zdumieniu, nieprzytomnie patrząc na kolta.

– I co, dupku? Nie wyszło?

Rourke nie czekał na odpowiedź. Zamachnął się drugą ręką i wbił nóż w otwarte usta...

Ostrożnie uwolnił palec z kleszczy kolta. Czuł pulsujący ból i drętwienie, jednak się tym nie przejął. Już dawno postanowił, że nie zostanie pianistą ani ginekologiem.

Przeszedł po zakrwawionych zwłokach i wyskoczył z szoferki wprost na plecy porucznika KGB, przecinając mu kręgi szyjne.

Nie opodał walczyła Natalia. Zastrzeliła w biegu dwóch żołnierzy, skoczył na nią trzeci, lecz potknął się o nogę doktora i nim zdołał powstać, otrzymał nożem cios w plecy.

Przed dziewczyną wyrósł kolejny przeciwnik, mierząc do niej z pistoletu. Tiemierowna kopniakiem wybiła mu broń z ręki i wykonując niemalże piruet, piętą drugiej stopy strzaskała skroń napastnika.

Rozejrzała się. Dostrzegła młodego sierżanta, przyczajonego za skrzynią ciężarówki. Wycelowała i naciągnęła spust...

Klik!

Wystrzeliła już wszystkie pociski. Nie tracąc czasu na zmianę magazynku, wyciągnęła sztylet i skoczyła na sierżanta. Zamachnął się na nią kolbą karabinu. Dziewczyna odskoczyła, potknęła się i upadła.

Cień żołnierza przysłonił jej słońce. Stał nad nią wyprostowany, nieruchomy... Dziwnie nieruchomy. Dopiero po kilku sekundach przechylił się, ugięły się pod nim kolana i padł na ziemię. W jego plecach tkwiła srebrzysta klinga noża Rourke'a.

Wolno wstała i otrzepała ubranie z piachu. Odgłosy walki umilkły. W pobliżu niej stał Władow, obok Reed, obaj ocierali krew z ostrzy noży.

Wokół widniały zakrwawione ciała żołnierzy konwojujących ciężarówki.

– Świetnie poszło – zawołał pułkownik do zbliżającego się Johna. – Bez strat w ludziach.

– Duże straty w ludziach – uściślił kapitan. – Według mnie, zbyt duże!

Doktor wiedział, co Rosjanin ma na myśli. Nic nie odpowiedział.

Rozdział XXXV

Rourke zasiadł za kierownicą pierwszej ciężarówki odziany w mundur kaprała KGB. Doskonale mówił po rosyjsku i nie obawiał się, że zostanie zdemaskowany. Obok Natalia, przebrana w najmniejszy mundur, jaki znaleźli, lecz i tak wyglądała w nim, jakby ten uniform odziedziczyła po starszym bracie. Długie włosy zwinęła w kok i skryła pod czapką.

– Wolałabym swój własny mundur – narzekała.

– Tylko że KGB nie używa kobiet do zadań takich jak to i ubrana jak kobieta, nawet z dystynkcjami majora, wzbudziłabyś w strażnikach podejrzenie.

– To może mam wyjąć kredkę do oczu i dorysować małe wąsiki?

– Używasz kredki? – zdziwił się.

– Niezbyt często – uśmiechnęła się lekko. – Każda kobieta lubi mieć jednak przynajmniej jedną w torebce.

– Nie powinnaś jechać z przodu konwoju!

– Nie miałam wyboru – zaśmiała się. – Musiałam być z tobą. Jesteś jedynym mężczyzną w naszym oddziale, przy którym mogę się spokojnie przebrać.

– Nie wiem, czy to komplement, czy wprost przeciwnie...

Dziewczyna ściągnęła spodnie. Spod małego trójkątka różowych majteczek wymykały się czarne kędziorki. Rourke przypatrywał się jej z przyjemnością, prawie nie zwracając uwagi na drogę. Szczęściem była pusta.

– Może, jak uda nam się zniszczyć kapsuły narkotyczne i zdobędziemy kilka na własny użytek, to zabierzemy ze sobą Władowa i Reeda wraz z kilkoma ich ludźmi? W Schronie zgromadziłem o wiele więcej żywności niż potrzeba do wykarmienia naszej szóstki. Może pojedę do twego wuja nakłonić go, aby zmienił swoje zamiary...

– Nie! – przerwała mu krótko.

– Czemu nie?

– Ponieważ zabiliby cię. Jest tylko trzech ludzi, na których mi zależy. Muszę pogodzić się ze stratą wuja, ale nie chcę utracić ciebie i Paula! Wiesz dobrze, że gdybyś wybierał się do Chicago, to Paul pojedzie z tobą. Nie dotrzecie do miasta żywi. Jeżeli uda nam się zniszczyć bazę KGB, to staniesz się najbardziej poszukiwanym przez Rosjan człowiekiem i oni nie spoczną, dopóki nie będziesz martwy albo póki nie nastąpi koniec świata. Przerwą działania wojenne, zbiorą wszystkie jednostki z okupowanych miast i wszystkie siły skierują na poszukiwanie ciebie. Jak tylko wychylniesz nos ze Schronu, dopadną ciebie i Paula. Wuj był dla mnie jak rodzony ojciec, kocham go bardzo, ale on już pogodził się ze swoją śmiercią. Trudno, musimy to uszanować. Nie pozwolę wam zginąć przy

próbie ratowania go! Jeżeli znajdzie taka potrzeba, przestrzelę ci kolana, ale nie pozwolę opuścić schronu!

John nie wiedział, co ma odpowiedzieć...

Rozdział XXXVI

Powoli zbliżali się do zewnętrznej bramy umocnień. Zapory z kolczastego drutu skrzyły się w słońcu jak srebro. Stal nierdzewna, najwyższej jakości, wspaniale przewodząca prąd o napięciu tysiąca pięciuset wolt. Przed wojną taką energię przepuszczano jedynie przez krzesła elektryczne! Nie było najmniejszych szans na przetrwanie uderzenia o takiej mocy!

Rourke zauważył leżące przy zasiekach zwęglone szczątki dużego zwierzęcia, może krowy... Miało pecha, nikt nie nauczył je czytać! Co kilkanaście jardów wkopano w ziemię tabliczki z napisami po rosyjsku i angielsku: „Teren wojskowy, wstęp wzbroniony, zasieki pod wysokim napięciem, dotknięcie grozi śmiercią!”

Doktor spojrział w boczne lusterko. Tuż za jego ciężarówką jechał na motocyklu kapitan Władow w mundurze porucznika KGB, kolejny zaś pojazd prowadził Daszroziński, przebrany za majora. Trzecim kierował kapral Razawitski.

Do szoferki podjechał Władow.

– Co jest? – Amerykanin wychylił się przez okno.

– Uśmiech szczęścia, doktorze. Niespodzianka.

– Jaka niespodzianka?

– Moi chłopcy sprawdzili te paki, które wieziemy. We wszystkich jest wybuchowy plastik C-4.

– To świetnie! Mam nadzieję, że się nam przyda. Motocykl kapitana wysunął się na czoło kolumny.

– Rozmyślasz nad sposobem? – spytała.

– Nad jakim sposobem?

– No, w jaki sposób mamy się wdrzeć do bazy. Jesteś pewien, że wartownicy przepuszczą nas do środka?

– Powiem ci tylko jedno, trzymaj buźkę zamkniętą na kłódkę, a jak cię któryś o coś zapyta, to odpowiadaj jedynie „tak” albo „nie”, aby nie poznali po głosie, że jesteś dziewczyną. I patrz w dół, by nie ujrzeli niczego podejrzanego w twoich oczach.

– Czemu nie każesz mi skryć się w jakiejś skrzyni? – powiedziała sarkastycznym tonem. – Już się przebrałam, nikt nie będzie mnie podglądał.

– Zostań z przodu, bo jak dojdzie do walki, będziesz przydatniejsza niż ktokolwiek inny.

– Oczywiście z wyjątkiem ciebie!

– Możliwe – przyznał Rourke i, patrząc na śmiejącą się Natalię, dodał: – Moje ego czuje się urażone!

– Twoje ego jest zbyt wielkie, aby je można cokolwiek poruszyć!

– Bingo! Typowa kobieta! Nie ma sensu dalej z tobą dyskutować.

Dojechali do bramy. Wartownicy odprawiali poprzedni konwój. Rourke przyhamował kilkadziesiąt jardów przed ostatnią ciężarówką. W stronę bramy pojechał kapitan Władow.

Z kolejnego samochodu wysiadł Daszroziński, trzymając w ręce teczkę z dokumentami przewozowymi.

Doktor poczuł, jak Tiemierowna odruchowo łapie go za rękę.

– To jest kolejna rzecz, której ci zabraniam! – powiedział ostro. – KGB ma dobrych psychologów i nie dopuszcza pedałów do służby w swych oddziałach. Jak mnie złapiesz przy nich za rękę, zaraz podpadniemy!

Chciała cofnąć dłoń, ale ją powstrzymał.

– Na razie możesz jeszcze trzymać... Powiem ci, od którego momentu nie będzie wolno ci tego robić.

Spojrzała na niego dziwnym wzrokiem.

Rozdział XXXVII

Do Chambersa podszedł oficer dyżurny i zakomunikował:

– Panie prezydencie, nadal nie mamy żadnych potwierdzeń, czy porucznik Fletcher nawiązał kontakt z Ochotniczą Milicją Tekszańską. Zdaje się, że jesteśmy zdani jedynie na własne siły.

– Dziękuję, majorze – Chambers skinął głową oficerowi i rozejrzał się po zgromadzonych w gabinecie.

– Panowie, sam nie wiem, co powiedzieć! Nigdy nie czułem się politykiem, zawsze byłem naukowcem i wolałbym nim pozostać do końca życia. Jednak sytuacja obliguje mnie do działania. Jako wasz prezydent, powinienem powiedzieć coś pocieszającego, zagrzewającego was do walki, lecz nie znajduję słów. Rosjanie otaczają nas z dwóch stron, mamy zbyt szczupłe siły, by stawić skuteczny opór obu armiom wroga. Możemy prowadzić walkę jedynie z jedną sowiecką armią. Możemy także ewakuować naczelne organy państwa i sztab generalny w bezpieczniejsze miejsca, gdzieś do Ameryki Południowej, ale nie jest to dobre rozwiązanie. I tak za dzień, za dwa wszystko się skończy. Trudno oskarżać o to jedynie Rosjan. Sami sobie zgotowaliśmy ten los. To przecież my wyprodukowaliśmy pierwszą broń atomową, pozwoliliśmy Rosjanom ukraść jej projekty, odpaliliśmy nasze głowice... Jesteśmy odpowiedzialni za nadciągającą zagładę. Ale nie ma co rozdzierać teraz szat! Tym niczego nie naprawimy! Możemy jedynie przyczynić się do ostatniego sukcesu Stanów Zjednoczonych w tej wojnie. Musimy rozbić jedną z tych armii, aby nasi obywatele mieli choć trochę satysfakcji przed śmiercią!

Tym zakończył swe przemówienie pierwszy i zarazem ostatni prezydent Stanów Zjednoczonych II...

Rozdział XXXVIII

Poprzedni konwój został wpuszczony do bazy i stojący przy bramie podoficer pomachał ku nim. Rourke wolno nacisnął pedał gazu. Przed maską widział pochylonego nad kierownicą motoru Władowa. Na jego mundurze, dokładnie na środku pleców, widniała spora plama krwi.

– O cholera! – mruknął Amerykanin.

Nie było już sposobności, aby ostrzec kapitana. Miał jedynie nadzieję, że wartownicy tego nie dostrzegą, bo w przeciwnym wypadku byłoby bardzo źle. Plama znajdowała się w miejscu, które wykluczało możliwość wmówienia komukolwiek, że Władow zaciął się przy goleniu.

Motocykl zatrzymał się tuż przed sierżantem KGB. Za nim zahamowały pozostałe pojazdy, pozostając na włączonym biegu.

Daszroziński, przebrany za majora bezpieczeństwa, podszedł do bramy. Wartownicy zasalutowali na jego widok. Wolno podniósł dłoń do daszka czapki. Rourke wychylił się przez okno, aby lepiej słyszeć ich rozmowę.

– Poproszę was o papiery, towarzyszu majorze – powiedział sierżant.

Komandos podał mu żółtą teczkę, a podoficer odszedł z nią do wartowni, mieszczącej się tuż za zasiekami.

Natalia głośno ssła dolną wargę. John nie wiedział, czy z nerwów, czy z nikotynowego głodu.

– Pozwólcie ludziom palić – zawołał Daszroziński do Razawitskiego, odgrywającego rolę porucznika-adiutanta.

– Tak jest, towarzyszu majorze! – Kapral wyprostował się jak struna. Ruszył wolno wzdłuż samochodów. Przystanął obok szoferki i szepnął do Natalii:

– Porucznik uważa, że zbyt długo pieprzą się z tymi papierami. Bądźcie w pogotowiu.

Zaś głośno, tak aby jego słowa dotarły do strażników:

– Możecie palić, ale ostrożnie z ogniem! Nie zapominajcie, jaki wieziemy ładunek. Nie chcę mieć tu fajerwerku.

– Tak jest, dziękuję, towarzyszu poruczniku! – odparł Amerykanin. Kapral poszedł powtórzyć wiadomość pozostałym komandosom.

Natalia sięgnęła po papierosa. John ze strachem dostrzegł, jak dziewczyna beztróska wyjmuje z torebki ozdobną damską papierošnicę. Źołnierze z KGB stali tuż obok... Wyszarpnął jej z ręki papierošnicę i wrzucił pod siedzenie. Straźnicy niczego nie zauważyli. Dobrze!

Wyciągnął z kieszeni paczkę Pall Malli i podał dziewczynie. Zapalili. Razawitski wrócił do porucznika. Wszyscy ludzie zostali już ostrzeżeni. Sierżant KGB nadal nie powracał z dokumentami...

Po dłuższej chwili oczekiwania i niepokoju wyszedł z wartowni major KGB wraz z podoficerem.

Daszroziński zsalutował na jego widok, a oficer powiedział:

– Niezmiernie mi przykro, towarzyszu, za ten przestój, ale plan „Łono” wszedł w fazę realizacji i dlatego podwoiliśmy naszą czujność. Gdybyście przyjechali w zeszłym tygodniu, nie mielibyście tylu kłopotów.

– Więc wszystko w porządku i możemy jechać dalej, towarzyszu majorze? – upewnił się komandos.

– Oczywiście, ale jedynie za drugą bramę. Względy bezpieczeństwa. Później waszymi ciężarówkami zajmie się personel bazy, wy zaś poczekacie w namiotach rozbitych obok lotniska, aż zwrócimy rozładowane samochody. Nie będzie wam się nudziło, dostaniecie coś ciepłego do jedzenia. Znajdzie się też odrobina wódki dla oficerów i podoficerów. – Major zmrużył oko.

– Możemy już ruszać?

– Oczywiście, towarzyszu. Otworzyć bramę! – zawołał oficer do wartowników.

Pierwsze ruszyły motocykle...

– Towarzyszu! – zawołał do oddalającego się Daszrozińskiego major KGB. – Nie ma powodów, aby wasi motocykliści eskortowali was aż poza linie obronne.

– Towarzyszu majorze, ja także mam swoje rozkazy! – odparł porucznik. – Jestem całkowicie odpowiedzialny za nasz ładunek aż do chwili przekazania go personelowi bazy. Póki to nie nastąpi, będę postępował zgodnie z poleceniami moich przełożonych.

Oficer dyżurny machnął przyzwalająco ręką. Ciężarówki wolno wtoczyły się za bramę. Na stopień kabiny pierwszego pojazdu wskoczył Daszroziński.

– Myślę, że kapitan Władow byłby lepszy w twojej roli – powiedział Rourke.

– Chyba macie rację, towarzyszu... O, przepraszam...

– Nie masz za co, poruczniku. W akcji, w której uczestniczymy, jesteśmy najprawdziwszymi towarzyszami! Prawda, towarzyszeko Tiemierowna?

Natalia uśmiechnęła się lekko.

Rozdział XXXIX

Minęli pas umocnień oraz drugą bramę. Nikt ich nie kontrolował. Droga wiodła do podnóży góry Czejena, tworząc wielkie rondo, na którym ciężarówki przejmował personel bazy, zaś ludzie z konwojów wędrowali w kierunku małego lotniska.

Na zboczu, kilka jardów powyżej poziomu ziemi, widniały metalowe opuszczone wrota, odsłaniające tunel wiodący w głąb góry. Od ronda odchodziła ku nim szeroka betonowa rampa.

Rourke przyjrzał się zgromadzonym przy drodze strażnikom.

– Ciekawe – zauważył – wszyscy są uzbrojeni w nasze M-16 i kolty 45.

– To zupełnie logiczne – wyjaśniła Natalia. – Wuj powiedział, że po to mają na wyposażeniu wyłącznie broń amerykańską, by po zagładzie łatwiej mogli do niej znaleźć amunicję.

– Spryciarze – mruknął doktor. Dotarł do ronda. Zahamował. Kierujący ruchem żołnierz pomachał, aby się przybliżyli.

„Cokolwiek zamierza Władow, niech to zrobi szybko” – pomyślał Rourke. Zjechał z drogi na pobocze, cofnął nieco, zatrzymał ssanie i trzymając wyłączone sprzęgło, dodał gazu. Silnik zawył, z rury wydechowej buchnęły ciemne spaliny, motor zakaszłał i zgasł.

Strażnicy zawołali coś ze złością. Amerykanin wychylił się przez okno i uśmiechnął się do nich przepraszająco.

– Ot, stare pudło, towarzysze – wyjaśnił.

Spróbował zapalić, silnik wskoczył na najwyższe obroty i ponownie zgasł. Z chłodnicy unosiły się obłoczki pary.

– Niech wasi opuszczą ciężarówki – szepnął Rourke Daszrozińskiemu. – Strażnikom powiedz, że jechaliście wiele godzin i ludzie są zmęczeni.

– Dobra, doktorze!

Porucznik zeskoczył na ziemię i zawołał donośnym głosem:

– No, chłopcy, opuśćcie samochody i stańcie w pobliżu! Ten rozkaz powtórzył jak echo Razawitski.

Do Daszrozińskiego podbiegł oficer KGB.

– Towarzyszu majorze, niech wasi ludzie nie opuszczają jeszcze pojazdów! Punkt wysiadkowy jest tam dalej. Oficer wskazał na zakręt ronda.

– Kapitanie, moi ludzie są zbyt zmęczeni, aby jeszcze tłoczyć się w ciasnych kabinach. Przecież nie zdeptają wam trawy!

– Ależ, towarzyszu majorze...

– Właśnie! Nie zapominajcie, kapitanie, że mówicie do majora Armii Czerwonej!

Ostatnie słowa zamknęły usta funkcjonariuszowi.

Rourke się uśmiechnął. Pomyślał, że porucznik zawsze pragnął przemawiać do wyższych oficerów takim tonem i wreszcie nadarzyła mu się sposobność!

Popatrzył na Władowa. Kapitan uniósł się na siodełku, skierował wzrok ku rampie, a później spojrział na Amerykanina. Ten skinął przytakująco.

Zbliżało się kilkunastu żołnierzy KGB, by przejąć pojazdy.

Rourke wyszedł z kabiny. Rozpiął mundur, aby łatwiej mu było wydobyć ukryte pod ubraniem pistolety. W lewej ręce niedbale trzymał M-16, ale w takiej pozycji, że błyskawicznie mógł go odbezpieczyć i otworzyć ogień.

Za jego plecami stanął kapral Razawitski.

– Doktorze, Amerykanie też są gotowi. Każdy zabrał po pięć kilo C-4, resztę zaminowaliśmy. Wybuch nastąpi za dwie i pół minuty.

Zawarczał motor Władowa i rozległ się głos kapitana, wołający najpierw po rosyjsku, a następnie po angielsku:

– Do ataku!! – Pomknął rampą ku otwartemu wejściu do bazy i zniknął w tunelu.

Rourke uniósł pistolet maszynowy, ściał pierwszą serią kapitana KGB, obiegł ciężarówkę dookoła, przestrzelił głowę uciekającego w kierunku bramy żołnierza, padł na ziemię, umykając spod karabinów wartowników, przeturlał się i błyskawicznie powstał, strzelając z biodra. Jednemu ze strażników o mało nie odstrzelił głowy, drugiemu kule wyorały w piersi krwawą bruzdę.

Opróżnił cały magazynek. Odrzucił bezużyteczną broń i wyciągnął zza pasa Pythony. Rozejrzał się.

Natalia biegła wzdłuż kolumny samochodów, strzelając jednocześnie z Kałasznikowa i M-16, siejąc śmierć i przerażenie wśród personelu z bazy.

Daszroziński padł na ziemię, otwierając ogień do strażników zgrupowanych w punkcie wyładunkowym.

Reed z sześcioma Amerykanami zajął centrum pętli. Stał wyprostowany, strzelając z trzymanyh w obu rękach rewolwerów. Jego siwe długie włosy rozwiewał wiatr. Wokół klęczeli ludzie z karabinami podniesionymi do ramienia. Wyglądali teraz jak żywa replika „Ostatniego szanca Custer” [„Ostatni szaniec Custer” – popularny obraz amerykański przedstawiający ostatnie chwile generała Custer, poległego w bitwie z Indianami Dakota (Siuksami) nad strumykiem Little Big Hom.].

– Do środka! – zawołał Rourke. – Biegiem rampą do wejścia!

Kiedy się odwrócił, metalowa płyta zaczęła opadać, zamykając jedyną drogę mogącą doprowadzić ich do zbiornika gazu narkotycznego.

W pobliżu stał jeep, za którego maską kryło się kilku gwardzistów. Rourke jak szalony popędził w kierunku samochodu, nie przejmując się gwizdzącymi mu koło ucha pociskami. Jeszcze w biegu postrzelił dwóch przeciwników, dopadł auta, kopniakiem obalił starszego podoficera i przykładając lufy obu Pythonów do głowy następnego Rosjanina, pociągnął za spusty. Czaszka żołnierza pękła niczym strzaskany melon. Dobił rannych leżących przy jeepie, wskoczył do środka i złapał za kluczyk tkwiący w stacyjce.

„Nie ma się co dziwić, że KGB poniosło tyle porażek, skoro są tak nieostrożni!” – pomyślał.

Zapalił silnik i pomknął w kierunku opadających wrót. Wjechał pod nie w ostatniej chwili!

Zahamował i wyskoczył z wozu, a stalowa płyta wolno opadła na karoserię. Rozległ się zgrzyt zgniatanej blachy, opony pękły z hukiem, potrzaskał lakier – łazik zmienił się w ogromnego

pogniecionego chrząszcza, ale zablokował wrota.

Między nimi a betonową podłogą pozostało przejście metrowej wysokości.

Z małego bocznego korytarza wybiegł uzbrojony strażnik. Amerykanin podskoczył do niego i pięścią wbił kości nosa w mózg, zastrzelił jeszcze trzech kolejnych gwardzistów i zawołał do Reeda:

– Zbierajcie dupy do środka!

Pobiegł szukać Natalii. W biegu ładował bębny koltów.

– Poruczniku, do wejścia! – Dostrzegł Daszrozińskiego.

– W porządku, doktorze!

Natalia schowała się za maską jednej z ciężarówek. Ostrzeliwała się przeciwko kilkunastu napastnikom.

Rourke zauważył, jak pospieszył jej z pomocą kapral Razawitski. Trafił dwóch przeciwników i... padł. Ta scena utkwiła w pamięci doktora jak kadry zwolnionego filmu. Biegnący podoficer, przecięty prawie na pół serią z ciężkiego karabinu maszynowego, młode ciało szarpane pociskami, niesłychanie wolno padające na ziemię...

Rourke wypalił jednocześnie z obu Pythonów, rozwalając głowę strzelca obsługującego karabin maszynowy. Dalsze trzy strzały... Kolejny nieprzyjaciel zabity.

Dopadł do dziewczyny i przywarł do karoserii ciężarówki.

– Natalia, zablokowałem jeepem drzwi...

– Mam parę kilogramów C-4, aby je odblokować.

– Zmykaj stąd, za chwilę nastąpi wybuch!

– Właśnie dlatego tu jestem! Chcę ściągnąć jak najwięcej tych psów w pobliże ciężarówek.

– Więc daj mi swój pistolet maszynowy, skończę tę robotę za ciebie.

– Niestety, John, opróżniłam już wszystkie magazynki.

– Wspaniale! – mruknął.

Podkradł się na tył ciężarówki i podniósł upuszczony przez kogoś karabinek. Sprawdził komorę. Tylko dwa naboje. Usłyszał szelest i podniósł się w chwili, gdy runął na niego potężny, atletycznie zbudowany mężczyzna z twarzą Mongoła. Nie zastanawiając się wbił lufę karabinku w oko napastnika i nacisnął spust. Kula przeleciała przez mózg Azjaty, wybijając wielką dziurę w potylicy.

Amerykanin schylił się i zabrał pistolet maszynowy olbrzymia wraz z dwoma zapasowymi magazynkami. Powrócił do Natalii i wsparł ją ogniem.

– Skąd wzięłeś naboje? – zdziwiła się.

– Pożyczył mi je jeden miły facio. Zbierajmy się stąd! Ostrzeliwując się wybiegli po rampie i skryli się za niedomkniętymi wrotami.

– Zrób coś, aby je zamknąć!

– Dobrze, osłaniaj mnie.

Dziewczyna wyjęła spod bluzy niekształtną bryłkę plastyku, ugniotła ją nieco w rękach, otworzyła maskę zgniecionego jeepa i zainstalowała ładunek wybuchowy.

Rourke'owi pozostało kilkanaście ostatnich kul.

– Pospiesz się!

– Tylko podłączę ten drut z zaciskiem akumulatora – powiedziała.

– Jak chcesz to uczynić, nie wysadzając nas w powietrze?

– Jeszcze nie wiem...

– Więc się, cholera, dowiedz!

Z głębi korytarza nadbiegło kilku Amerykanów z Reedem na czele.

– Gdzie jest Władow? – zapytał doktor, odruchowo patrząc na zegarek. Ciężarówka wybuchną za dziesięć sekund...

– Nie wiem, nie widziałem go od chwili, jak wpadł do środka – wyjaśnił pułkownik. – Ale słyszałem strzelaninę dolatującą z głębi tego pieprzonego tunelu. Może to on?

„To całkiem możliwe – pomyślał Rourke. – Może to Władow powstrzymuje ludzi Roźdiestwieńskiego, aby nie zaszli nas od tyłu...”

Rozległ się donośny huk – to eksplodowały ciężarówka. Podmuchał detonacji wpadł do tunelu, obalając ludzi na podłogę.

– Niezły musiał być tam ubaw – mruknął Reed, wypluwając kurz.

– Już wiem, co zrobię! – zawołała Natalia.

Doktorowi tak szumiało w uszach, że prawie jej nie słyszał.

– Do diabła z akumulatorami! Po prostu przestrelę zbiornik paliwa i wrak musi eksplodować.

– Odsuńcie się wszyscy od wyjścia! – rozkazał John. Oddalili się o dwadzieścia pięć jardów.

– Tyle wystarczy – oświadczyła Natalia. – Dajcie mi karabin. Któryś z Rosjan podał jej dragunowa. Przyklęła, dokładnie wymierzyła... Trafiła za pierwszym razem. Wybuch rozerwał szczątki jeepa i stalowa płyta opadła ze zgrzytem, odcinając ich od zewnętrznego świata.

Byli uwięzieni we wnętrzu góry Czejena.

Z głębi korytarza dobiegał stłumiony odgłos strzałów.

– Naprzód! – zakomenderował Rourke. – By nie zamknęli nas tu jak szczury w pułapce.

Rozdział XL

Nad widnokręgiem zaśnity punkciki przybliżające się z każdą chwilą. Nadlatywały migi! Chambers pochylił się do ucha kierowcy i zawołał:

– Czy to żelastwo nie może jechać szybciej?

– Tak jest, panie prezydencie. – Szofer docisnął pedał gazu. Dwudziestoletni szary volkswagen zwiększył prędkość do siedemdziesięciu mil na godzinę.

Chambers sarkastycznie pomyślał o gracie, którym musiał podróżować. On, głowa państwa, zamiast zasiąść wygodnie w kuloodpornej limuzynie, musiał gnieść się w ciasnym volkswagenie.

– Szybciej!

– Już nie da rady szybciej, panie prezydencie. I tak zaraz się rozpadniemy.

Do amerykańskich linii obronnych zostało jeszcze pół mili... Chambers wybrał się na ostatnią placówkę, aby polec wraz ze swymi żołnierzami. Wczesnym rankiem rozpoczęła się wielka ofensywa wojsk radzieckich.

Nad szosą przemknęły myśliwce. Piloci nie zainteresowali się pojedynczym cywilnym samochodem, wyznaczono im ważniejsze cele do zaatakowania.

Rozległy się salwy baterii przeciwlotniczych, wystrzeliły z ziemi smugi setek pocisków, odpalono rakiety „ziemia – powietrze”, zagrzmiały karabiny maszynowe. Jeden z migów eksplodował, po chwili następny... Lecz radzieckie rakiety i pociski także czyniły wielkie szkody w amerykańskich liniach obronnych.

W pewnej chwili ziemia zadrżała i wyrósł na niej słup ognia...

– Musieli trafić w arsenał – spokojnie zauważył szofer. – Albo w cysterny z paliwem.

– Nie przejmuj się tym, synu, tylko dostarcz mnie tam jak najszybciej!

Chambers przymknął oczy i pomyślał o Fletcherze. Gdzie może teraz być? Gdzie są ci cholerni Teksaszczyki?

Nie wierzył w cuda, ale pomodlił się, aby Bóg zechciał zrobić wyjątek i sprawić cud.

Rozdział XLI

Roźdiestwieński siedział w gabinecie, przeglądając dokumenty. Już od dłuższego czasu zdawało mu się, że słyszy strzelaninę, ale wreszcie uzmysłowił sobie, że jest ona prawdziwa. Wybiegł na korytarz, wpadając w drzwiach na majora Rewnika.

– Co się stało, majorze? – Pułkownik złapał adiutanta za klapy munduru.

– Grupa nieprzyjaciół wdarła się do naszej bazy. Wysadzili plac przeładunkowy, poległo wielu naszych.

– Gdzie są teraz?

– Wdarli się do schronu wschodnim wejściem, blokując drzwi, nie możemy ich otworzyć.

Oficerowie weszli do sali odpraw. Panował w niej gwar i rozgardiasz.

– Kim są ci ludzie? – zapytał Roźdiestwieński.

– Nie wiemy. Niektórzy są ubrani w mundury KGB, inni w amerykańskie. Jest z nimi jedna kobieta...

– Towarzyszu majorze... – Znad pulpitu kontrolnego sterującego kamerami podniósł się młody kapral.

– Nie mam czasu – warknął Rewnik.

– O co chodzi, żołnierzu? – Pułkownik zdołał już opanować zdenerwowanie, jego głos brzmiał spokojnie jak zwykle...

– Towarzyszu pułkowniku, dostrzegłem tę kobietę na monitorze i rozpoznałem ją. Widziałem tę dziewczynę w Chicago, pół roku temu. To major Tiemierowna.

– Aha – domyślił się pułkownik – więc to sprawa Rourke'a!

– Tego doktora, którego poszukiwaliście, towarzyszu pułkowniku? – dopytywał się Rewnik.

– Tak. Jest doktorem, nożownikiem, komandosem, agentem CIA i notorycznym przestępcą! A teraz wdarł się do naszej bazy! – Oficer uderzył pięścią w ścianę. – Majorze, weźcie pięćdziesięciu ludzi i otoczcie ich, żeby nie przedarli się w głąb schronu.

– Tak jest! – Adiutant zaszalutował i odmaszerował. Roźdiestwieński spokojnie poszedł do swojego biura. Z trudem powstrzymywał się, by nie biec, ale dobrze wiedział, że taki pośpiech mógłby być opacznie odczytany przez podwładnych. Mogliby sobie pomyśleć, że ich dowódca wpadł w panikę, że obawia się paru przestępców... Dotarł do biurka i wziął leżący na blacie rewolwer.

– Niech cię diabli porwą, doktorze Rourke! – mruknął do siebie.

Rozdział XLII

Natalia wyciągnęła magazynek Walthera i przedmuchała lufę.

– Już go nie potrzebujemy – powiedziała, wyrzucając broń do plecaka. – I tak wiedzą, że tu jesteśmy!

Rosjanie pozdejmowali mundury KGB i założyli własne, lecz nie polowe panterki, a paradne stroje Oddziałów Specjalnych z dystynkcjami i medalami.

– Zapewne i tak wszyscy polegniemy – wyjaśnił Władow, nakładając na bakier ciemny beret – ale przynajmniej z fasonem. Jesteśmy gotowi do drogi – powiedział do Johna.

– Tylko dokąd? – westchnął Reed.

– Mamy dwa cele do zniszczenia – odezwał się doktor. – Musimy uszkodzić broń laserową, tak aby nie mogli jej użyć, oraz zniszczyć wszystkie komory kriogeniczne...

– Oraz ukraść tyle komór, ile damy radę, aby ocalić siebie, major Tiemierowną, własną rodzinę i może paru ludzi pułkownika Reeda – dodał ze smutnym uśmiechem kapitan.

– A także twoich ludzi – uściślił Rourke. – Chciałbym uratować tych wszystkich z naszego oddziału, którzy przeżyją.

W głębi korytarza wzmogła się strzelanina.

– Co tam się dzieje, poruczniku? – zawołał Władow. Daszroziński wychylił się zza zakrętu tunelu.

– Przybyło wsparcie dla KGB. Chyba szykują się do szturmu!

– Nie ma co dyskutować, kogo będziesz ratował, doktorze, a kogo nie, skoro zdaje się, że nikt z nas nie przeżyje. Im dłużej pozostaniemy w tym miejscu, tym bardziej zmniejszamy szansę doprowadzenia naszych planów do końca.

– Kapitan ma rację, John. Zabierajmy się stąd. – Reed był gotów do działania.

– O ile generał Warakow miał dobre informacje, to za zakrętem korytarz rozszerza się znacznie, przechodząc w długi pasaż. W jego połowie znajduje się boczny tunel, którym będziemy mogli obejść ich pozycje. Najważniejsze, aby do niego dotrzeć, bo zdaje się, że dzisiaj zmieniono pasaż w strzelnicę!

– Jak zwykle jesteś cholernie miły. – Pułkownik odwrócił się, zwołując swoich ludzi.

Rozdział XLIII

Pułkownik Roźdiestwieński znał cel, ku któremu zmierzali napastnicy. Laboratorium kriogeniczne! I wiedział, kto ich zachęcił do tej akcji. Tylko jedna osoba mogła wystąpić przeciwko niemu. Ten cholerny Warakow. Kiedy jego ludzie rozbiją tę bandę i natura podaruje mu jeszcze jeden dzień, pułkownik osobiście poleci do Chicago, aby rozprawić się z tym zdrajcą!

Podniósł mikrofon i włączył aparaturę nagłaśniającą.

– Tu mówi pułkownik Roźdiestwieński. Uwaga! Komunikat dla wszystkich! Nasz schron został zaatakowany, realizacja planu „Łono” zagrożona! Dwudziestu amerykańskich dywersantów i radzieckich renegatów wdarło się do bazy. Są uzbrojeni w broń palną i materiał wybuchowy. Ich celem jest zniszczenie kabin kriogenicznych. Jeśli im się uda, to nie mamy najmniejszej szansy na przeżycie dejonizacji. W naszym wspólnym interesie leży wyeliminowanie tych zbrodniarzy. Musimy dołożyć wszelkich starań, aby ich otoczyć i zlikwidować! Nakazuję uzbroić się wszystkim mieszkańcom bazy, zarówno mężczyznom, jak i kobietom. Wytroście ich i zniszczcie! Ale jeżeli okaże się to możliwe, dwoje wrogów złapcie żywych. Major Natalię Tiemierowną, zdrajczynię, wdowę po naszym poprzednim dowódcy, Władimirze Karamazowie, oraz Amerykanina, doktora Johna Rourke’a, terrorystę z CIA. Pozostałych – zlikwidować!

Oficer skończył mówić i odłożył mikrofon. Jego dłonie już nie drżały. Chciał wygrać. Musiał wygrać!

Rozdział XLIV

Pasaż liczył dwadzieścia, dwadzieścia dwa jardy szerokości. Nie zwlekając ruszyli do ataku. Przodem pomknął na motocyklu porucznik Daszroziński, a siedzący w koszu radziecki strzelec otworzył ogień z karabinu maszynowego. Żołnierze KGB, blokujący koniec pasażu, nie ruszyli się ze swych pozycji, ale odpowiedzieli ogniem z pistoletów maszynowych.

Rourke biegł przodem. Kątem oka ujrzał, jak pada jeden z Amerykanów. Nie było czasu sprawdzić, czy zginął czy może jest tylko ranny, biegli dalej. Jedynie Natalia schyliła się po upuszczoną przez żołnierza broń.

Motocykl Daszrozińskiego dotarł do wylotu bocznego tunelu. John ujrzał, jak pocisk dużego kalibru trafił strzelca w pierś i przelatując przez ciało, wybił w jego plecach krwawą dziurę. Porucznik ustawił pojazd w poprzek pasażu, by dawał jego towarzyszom chociaż nikłą osłonę przed kulami. Wyrzucił martwego Rosjanina na podłogę i skrywszy się za koszem, złapał za karabin maszynowy. Jego celne, długie serie uciszyły nieco przeciwników, zmusiły ich do poszukania lepszych kryjówek. Ogniowa zapora stworzona przez oddział KGB chwilowo osłabła i ludzie Johna skryli się w bocznym korytarzu. Na szczęście korytarz nie był opanowany przez wroga.

Władow ze swymi komandosami pobiegł obstawić przeciwległy wylot.

– Reed, idę za kapitanem – oświadczył Rourke pułkownikowi. – Wspierajcie Daszrozińskiego, dopóki nie zdobędziemy wózków elektrycznych...

– Jakich wózków?

– Nie mam czasu tłumaczyć, generał wszystko dobrze obmyślił!

– Co znowu wymyślił ten twój generał?

– Masz lepszy pomysł, jak wyleźć z tego gówna?

– Tak, John, ale przez wrodzoną przyzwoitość nie wyjawię swej propozycji przy pani major. Dobra, lećcie za Władowem, my postaramy się powstrzymać tych sukinsynów, a później do was dołączymy.

Rourke zmienił magazynki w swych pistoletach i naładował kolty. Podobnie postąpiła Natalia.

– Dalej, ruszamy! – zakomenderował.

Chociaż zmęczyła ich pierwsza przeprawa, pobiegli co sił w nogach. Dotarli do oddziału Władowa, zajmującego przeciwległy wylot tunelu wpadającego do kolejnego pasażu.

Rozdział XLV

Drugi pasaż był węższy od poprzedniego, ale wysoki tylko na trzydzieści stóp. Przy jednej ze ścian, na wysokości dziesięciu i dwudziestu stóp, biegły drewniane galeryjki, obstawione przez żołnierzy KGB. Rourke ocenił, że musi ich być ze stu. Wymiana ognia była bezcelowa, nieprzyjaciół wciąż przybywało. A od garaży dzieliło ich kilkadziesiąt jardów!

– Wiem, jak ich załatwić! – zawołał nagle doktor. – Władow, niech twoi ludzie złożą razem cały plastik, jaki zabrali z ciężarówek. Kto wziął dragunowa? – rozejrzał się uważnie.

Karabin snajperski trzymał pod pachą major wywiadu.

– Niech go weźmie najlepszy strzelec, a reszta niech utoczy półkilogramowe kule z C-4.

– Będziemy rzucać plastykiem jak granatami, a snajperzy zdetonują go strzałami? – spytała Tiemierowna.

– Zgadłaś! Będziemy strzelać we trójkę: ty, ja i snajper Władowa. Trzech komandosów z najdłuższymi ramionami rzuca, reszta osłania nas ogniem ciągłym. No, chłopaki – Rourke zwrócił się do Rosjan – który z was grał w baseball?

Żołnierze roześmieli się. Wystąpiło pięciu, których kapitan wyznaczył na „miotaczy”. Nadbiegł pułkownik z częścią swojego oddziału.

– Daszroziński i czterech moich ludzi zostało w tylnej straży – wyjaśnił. – Co szykujecie?

– Chcemy dostać się do tamtych garaży – wskazał doktor. – Są w nich elektryczne wózki transportowe. A jeżeli dopisze nam szczęście, może znajdziemy też jakieś solidniejsze pojazdy. W każdym razie nawet na wózkach odskoczymy od sił nieprzyjaciela i dotrzemy do laboratorium kriogenicznego, zanim KGB zdąży się przegrupować.

– Zapewne już teraz komory są pilnie strzeżone i będziemy potrzebowali całej armii, aby je rozbić – mruknął pesymistycznie Dressler.

– Możliwe, ale zacznę się tym martwić dopiero, gdy tam dotrzemy. Z drugiej strony, nie zapominajcie, sierżancie, że my jesteśmy małą armią! – uśmiechnął się Rourke.

– W porządku, pan tu rządzi! Pomogę Rosjanom uformować plastik.

Władow wybrał najlepszego strzelca, starszego szeregowca.

– Nasza trójka już w komplecie – odezwał się doktor. – A jak pozostali? Kule gotowe?

– Tak jest, towarzyszu! – zawołał jeden z komandosów.

– Dobra, wszyscy na stanowiska.

Strzelcy położyli się na ziemi, unosząc na łokciach karabiny. Za nimi przyklękli miotacze. Reszta żołnierzy rozstawiona przy wylocie tunelu otworzyła ogień do gwardzistów stojących na galeryjkach.

– Miotacze, uwaga... rzuć!

W powietrzu poszybowały trzy nieforemne kule. Rourke ujrzał, jak jedna z nich dociera na poziom niższej galeryjki. Wziął ją na cel i błyskawicznie nacisnął dwukrotnie spust. Dla większej pewności!

Błysk, eksplozja, trzask pękających desek, druga eksplozja, płomienie pełzające po podłodze pasażu. Tylko trzecia kula plastyku upadła na ziemię nienaruszona. Ktoś z pozostałej dwójki musiał chybić.

Spory odcinek niższego pomostu został zniszczony, z nadwerężonych wybuchem pozostałych części galerii gwardziści uciekali.

– Chłopcy, teraz zróbcie to lepiej – rozległ się spokojny głos Władowa.

– Rzucajcie wyżej, musimy strącić na ziemię oba pomosty! – zawołał Rourke.

– Raz... dwa... trzy... Rzuć!

Tym razem wszyscy zaprezentowali stuprocentową skuteczność. Trzy ładunki C-4 eksplodowały na poziomie wyższej galeryjki, niszcząc ją doszczętnie, płonące szczątki opadły na niższy pomost, który w okamgnieniu także stanął w płomieniach.

– Wspaniała robota! – pochwalił swych towarzyszy Rourke. – A teraz do drzwi garaży!

Rozdział XLVI

Siły KGB utrzymały się wyłącznie na końcu pasażu, lecz ogień z tego miejsca nie stanowił zagrożenia dla Rourke'a.

Drzwi garażu były zamknięte na elektroniczne zamki szyfrowe, lecz najlepszym kluczem do nich okazał się plastik.

Wystarczyło zdetonować ładunki umocowane na zawiasach, aby garaże stanęły otworem. W jednym dywersanci znaleźli sześć elektrycznych wózków, podobnych nieco do golfowych, w drugim – małą ciężarówkę i sportowy motocykl. Na jego widok oczy doktora rozbliły.

– Cudeńko! – cieszył się. – Prawdziwy Ninja.

– Made in Japan? – za pytał Reed.

– Tak, z fabryki Kawasaki. Biorę go dla siebie. Wy pojedziecie ciężarówką, a elektryczne wózki ustawimy w poprzek pasażu i podminujemy. Ludzie Roźdiestwieńskiego zbyt szybko nie ruszą za nami w pościg.

– Nie powinniśmy przeszukać pozostałych garaży? Może jest w nich więcej ciężarówek? – dopytywał się pułkownik.

– Nie mamy czasu. Natalia, wskakuj do samochodu, będziesz kierować.

Dziewczyna podniosła maskę ciężarowego forda i podłączyła odłączone i wysmarowane przewody.

– Aż olej z niego ścieka! – mówił, wycierając dłonie o pośladki.

– Roźdiestwieński pragnął go dobrze zakonserwować, aby wóz przetrwał w należyтым stanie przez najbliższe pięćset lat – powiedział doktor.

– A wygląda na to, że ford nie przetrzyma najbliższych godzin! – stwierdził pogodnie Dressler. – Wózki zaminowane, połamią sobie zęby, chcąc je rozłączyć.

– Dobra, sierżancie, niech ludzie pakują się na skrzynię. – Rourke wskoczył na siodelko motocykla i zapalił silnik. W piętnaście sekund mógł rozwinąć szybkość stu dwudziestu mil!

– Gotowi? – zawołał.

– Tak, doktorze! – odparł Władow.

– W drogę!

Rourke wolno wyprowadził motor z garażu.

Rozdział XLVII

Do Roźdiestwieńskiego podbiegł Rewnik.

– Towarzyszu pułkowniku, zaminowali dostęp do garaży! Podczas unieszkodliwiania ładunków zginęło sześciu naszych ludzi...

– Dobra, majorze, dajcie sobie z tym spokój, to nieważne. Co z garażami?

– Dostali się do dwóch, w pozostałych uszkodzili zamki elektroniczne i nie możemy ich otworzyć...

– Więc je wywalcie! Potrzebuję mojego samochodu i wozów bojowych! Natychmiast!

Adiutant odbiegł wykonać rozkazy. Po chwili rozległy się stłumione eksplozje, garaże stanęły otworem.

Roźdiestwieński pomyślał o Rourke'u i jego ludziach. Z pewnością zmierzają do laboratorium. Jeżeli Warakow dobrze poznał plany schronu, to podał im najkrótszą, czteromilową drogę. Ale jeżeli pojedą okrężnicą, to dotarcie do celu zajmie im dwukrotnie więcej czasu. Ponadto ciężarówka, którą ukradli, nie była zbyt szybka, mogła rozwijać prędkość najwyżej do pięćdziesięciu mil, samochód pułkownika i wozy bojowe były o wiele szybsze. Bez względu na rodzaj drogi, jaki wybierze Rourke, to on i tak dotrze do laboratorium przed nim! „Przygotuję ci małą niespodziankę, doktorku! Obiecuję!”

– Majorze Rewnik!

Zbliżył się przestraszony oficer.

– Tak, towarzyszu pułkowniku?

– Skończcie, majorze, jak najprędzej waszą robotę, weźcie stu ludzi i obsadźcie szczyt góry. Obawiam się, że napastnicy mogą podzielić się na dwie grupy i gdy jedna uda się do centrum schronu zniszczyć komory, druga pójdzie w górę uszkodzić naszą broń laserową. Nie możemy do tego dopuścić! Ja osobiście zajmę się ochroną laboratorium.

Rewnik zasalutował.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku!

Żołnierze wyprowadzili z garażu nie uszkodzonego pięciobiegowego Pontiaca, rozwijającego szybkość do stu pięćdziesięciu mil na godzinę! Jaką szansę ucieczki mogą mieć Amerykanie i zbuntowani Rosjanie? Roźdiestwieński uśmiechnął się ironicznie i siadł za kierownicą. Otworzył skrytkę pod siedzeniem i wyciągnął z niej naoliwionego Uzi oraz cztery pełne magazynki.

Następnie włączył mikrofon połączony z megafonem umieszczonym na dachu samochodu.

– Tu mówi pułkownik Roźdiestwieński. Pięćdziesiąt metrów przede mną ma jechać dwanaście motocykli, a po obu stronach mojego auta po dwa wozy bojowe. Musimy dotrzeć do laboratorium

przed dywersantami, którzy nas zaatakowali, otoczyć ich i zniszczyć! Tiemierownę i Rourke'a należy pojmać żywcem, o ile będzie to możliwe. Amerykanin zapewne będzie jechał na moim motocyklu, uwielbia takie maszyny. Jeżeli zajdzie potrzeba, można zniszczyć mój motor, do nikogo nie będę miał o to pretensji. Ruszamy za sześćdziesiąt sekund! Utrzymujcie ze mną stałą łączność radiową.

Dwunastu potężnych gwardzistów zasiadło na siodełkach jednośladów, wspaniałych złotoskrzydłych Hond.

– Przy najbliższym skrzyżowaniu skręcamy w lewo, później jedziemy szerokim pasażem transportowym. Szybkość – sześćdziesiąt mil. Naprzód! – Przez megafon znów popłynął głos Roźdiestwieńskiego.

Kiedy włączyli motory, z głośnika popłynęła nostalgiczna pieśń czerwonoarmistów z czasów Rewolucji Październikowej.

Rozdział XLVIII

Dotarli do węzła komunikacyjnego. Dwa wąskie tunele prowadziły w górę, jeden w dół, a w prawo odchodził szeroki pasaż transportowy. Zatrzymali się na chwilę, aby się naradzić.

Przeżyło dziewięciu ludzi Reeda i jedenastu Rosjan.

– Nie sądzę, aby laboratorium łączyło się w jakiś sposób z centrum ogniowym. Uważam, że skoro broń znajduje się na szczycie góry, to i tam musi być to cholerne centrum. Tracimy tylko czas, idąc razem. Roźdiestwieński mógłby zablokować czy wysadzić jedyną drogę wiodącą na szczyt i byłibyśmy odcięci. Pójdę z moimi ludźmi na górę. Rozwalę ten cholerny laser – powiedział pułkownik. – Musimy podzielić się zadaniami, bo możemy nie mieć dość czasu, aby wspólnie zniszczyć oba cele.

– Więc moim zadaniem będzie zniszczenie komór kriogenicznych – skomentował Władow.

– Masz rację, Reed – przytaknął Rourke. – My z Natalią dołączymy do kapitana, może uda nam się wykraść z laboratorium kilka komór i trochę gazu narkotycznego... Aby moja rodzina miała szansę przeżycia... Podam ci położenie Schronu, jak uporacie się z laserem, to możecie...

– Daj spokój, John – przerwał Reed ze smutnym uśmiechem. – Dołączyłem do ciebie, godząc się już z utratą życia. Chcę zginąć godnie, po bohatersku! Im więcej zabiję tych dupków z KGB, tym weselszy będę schodził z tego świata.

– Ja czuję podobnie, pułkowniku – stwierdził Władow.

– Nie powinieneś tak mówić, możesz przecież wyleźć z tego cały... – powiedział doktor zakłopotany.

– To w takim razie pojedę do Teksasu. Zapewne toczy się tam teraz bitwa między KGB a naszymi chłopakami. Pomógłbym im...

– Jeżeli uda nam się wykonać główne zadanie – dodał kapitan – ja i moi ludzie zostaniemy tutaj. Trzeba przecież doszczętnie zniszczyć to miejsce, aby nie można go już było wykorzystać w żadnym celu!

Rourke podał dłoń pułkownikowi.

– Nie skłamię i nie powiem, że smuci mnie twoje postanowienie. Niech Bóg ma was w opiece! Życzę szczęścia i dużo, dużo powodzenia!

Radziecki oficer także wyciągnął rękę do Amerykanina.

– Myślę, że staliśmy się w końcu niezłymi sprzymierzeńcami.

– Kapitanie, mam dla was wielkie uznanie za poświęcenie i walkę. Dla was wszystkich! Niech was Bóg błogosławi!

– Ciebie także, pułkowniku! – Władow zaszalutował i odszedł do ciężarówki.

Reed zwrócił się do Natalii:

– Nie znałem cię, madame. Sądziłem, że Rourke zwariował, nie łamiąc ci od razu karku. Ale to ja byłem głupi! To najlepszy komplement, jaki mogę ci powiedzieć. A ty, John, jesteś najbardziej cholernym Amerykaninem, jakiego znałem. Dlatego zawsze byłeś dobrym Amerykaninem i nie sądzę, abym spotkał gdzieś lepszego.

Natalia podeszła do pułkownika, wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

– Pani major, nie chce pani spełnić ostatniej prośby skazańca? – zapytał.

Nic nie odpowiedziała.

Reed pochylił się i pocałował ją mocno w usta.

– John zawsze był wariatem! – dodał oficer i odmaszerował do swych ludzi nie oglądając się.

Rozdział XLIX

Pocisk eksplodował bardzo blisko, Chambers niemal czuł drżenie ziemi. Odruchowo skrył głowę w ramionach.

– Halverson? – zawołał do człowieka siedzącego przy radiostacji.

– W dalszym ciągu nic, panie prezydencie. Szukam na każdej częstotliwości, ale to pudło ma mały zasięg. Nawet jeżeli Teksasczycy nadejdą, możemy ich nie usłyszeć.

– Próbuje dalej, synu.

Nad ich głowami zadudniły kroki biegnącego człowieka i do ziemianki wskoczył młody podoficer w mundurze wojsk przeciwlotniczych.

– Gdzie, cholera, jest prezydent?

– Kto go szuka, sierżancie? – spytał Chambers.

– Mój porucznik kazał mu powiedzieć, że wystrzeliliśmy ostatnią raketę „ziemia – powietrze”. Jak naślą na nas więcej tych cholernych migów, to jesteśmy skończeni!

– Jak my będziemy skończeni, to nasze flanki zostaną odsłonięte i padnie cała armia.

– Gdzie, do diabła, jest prezydent? Muszę z nim mówić osobiście! Chyba nie palnął już sobie w łeb?

– A może przebrał się za kobietę i usiłuje przedrzeć się przez linie wroga, tak jak to uczynił Santa Anna [Prezydent Meksyku i Głównodowodzący Armią Meksykańską w czasie wojny ze Stanami Zjednoczonymi o sporne terytoria i Teksas. Został pojmany do niewoli w przebraniu kobiecym przez Polaków służących w US Army.] po przegranej bitwie pod San Jacinto – powiedział Chambers.

Sierżant wybuchnął głośnym śmiechem.

– O... on by tego nie zrobił! Słyszałem, że stary jest świetnym facetem, nawet jak na naukowca czy prezydenta! Ale muszę go znaleźć, porucznik chce wiedzieć, co mamy dalej robić.

– Już go synu znalazłeś, ja jestem prezydentem.

– Ty... co?

Na młodej, prawie dziecięcej twarzy sierżanta odbiło się wielkie zakłopotanie. Chambers ocenił, że mógł mieć najwyżej dziewiętnaście lat, ale w latach wojny awansowało się bardzo szybko. Można było zostać majorem, nie ukończywszy dwudziestego piątego roku życia...

– Ja... panie prezydencie... Przykro mi za to, co mówiłem...

– W porządku, synu, nic się nie stało. Powiedz twojemu porucznikowi, aby zebrał broń poległych i rozdał ją wszystkim zdolnym jeszcze do walki. Kiedy nadlecą radzieckie samoloty, celujcie pod ich skrzydła, tam, gdzie zawieszono są bomby. Przy odrobinie szczęścia nawet strzałem z pistoletu można zdetonować bombę i rozwalić tego cholernego miga.

– Tak jest! – Sierżant zsalutował i wybiegł.

Chambers usiadł na pustej skrzyni po pociskach i zapalił papierosa. Przeczytał karteczkę z ostrzeżeniem, widniejącą na pace, i wybuchnął śmiechem.

Rozdział L

Flotylla złożona z ponad stu najrozmaitszych łodzi wolno płynęła przez Wielkie Jezioro. Kilkuset członków Ruchu Oporu pod przywództwem Toma Mause'a wyruszyło na swój ostatni bój. Nie mieli karabinów maszynowych, wyrzutni raketowych, bazook, działek, żadnej ciężkiej broni. Wszystko, co skradli z radzieckich magazynów wojskowych, zostało odesłane do Teksasu, do tamtejszej milicji. Miała priorytet na dostawę ciężkiej broni z powodu zbliżającej się walnej rozprawy wojsk KGB z kadłubowym państwem amerykańskim. Im pozostały pistolety, sztucery, dubeltówki, noże, pistolety maszynowe i wszelki inny oręż, który bardziej nadawałby się do muzeum niż do walki. Ale postanowili zaryzykować!

Słońce powoli kryło się za widnokrzem, pogrążając spokojne wody w mroku. Od zachodu płynęły sowieckie łodzie patrolowe.

– Śmieszne – powiedział Mause sam do siebie – ale zbliża się pierwsza i ostatnia bitwa morska rozegrana podczas całego konfliktu amerykańsko – rosyjskiego...

Podniósł megafon do ust.

– Tu mówi Tom. Tom Mause. Za chwilę zetrzemy się z Sowietami. Wielu z nas tego nie przeżyje. Już się z tym pogodził. Ci, którym uda się przedrzeć, wiedzą, dokąd się kierujemy. Musimy zaatakować łagry i stalagi, w których giną nasi żołnierze i uwolnić tylu naszych rodaków, ilu damy radę. I zabijemy tylu Rosjan, ilu nawinie nam się pod lufy! Powodzenia!

Usiadł na dziobie motorówki i zaczął się modlić.

Rozdział LI

Przemykali się szerokim, kilkupasowym tunelem komunikacyjnym, mijając niezliczone boczne korytarze. Starali się kierować cały czas w górę. Nigdzie nie napotkali na opór.

„To oznacza, że całą obronę skoncentrowali na szczycie – pomyślał Reed. – Chyba trafiło mi się łatwiejsze zadanie. Ludzie strzegący komór kriogenicznych będą ich desperacko bronić, wiedząc, że walczą o swą jedyną szansę na przetrwanie zagłady. Natomiast ludzie zgrupowani w centrum ogniowym chronią jedynie broń laserową i będą mogli ją nawet poświęcić, nie tracąc nadziei na życie w przyszłości”.

Uśmiechnął się, przypominając sobie słowa Rourke'a. Jasne, że stary drań cieszył się z gotowości Amerykanów do rozwalenia broni laserowej. To była jedyna szansa przetrwania, jego i jego rodziny! Dobrze wiedział, że jeśli nawet uda mu się zniszczyć laboratorium i ukraść kilka komór, to w razie istnienia systemu obronnego nie ma najmniejszych szans ucieczki z bazy KGB. Radary wyśledzą nawet najmniejszy samolot, a potężny strumień laserowy dosięgnie go z odległości kilkudziesięciu mil, tak jak Roźdiestwieński uczynił to z samolotami Politbiura.

„Stary draniu, nie zrobię ci psikusy i rozwalę tę cholerną broń! Dla ciebie! Aby mógł przeżyć ktoś, kto za kilkaset lat opowie powracającym z kosmosu Amerykanom o tym, co miało tu miejsce”.

I o starym Reedzie! Uśmiechnął się, dotykając bluzy na piersiach. Za połą munduru, w plastikowej torbie, spoczywała zwinięta wielka amerykańska flaga.

Skęcili w wąski i niski korytarz pnący się stromo w górę. Musieli być już blisko szczytu...

Rozdział LII

Rourke zatoczył motocyklem koło i zatrzymał się.

Nie opodal przyhamował ford. Z kabiny wyskoczył natychmiast Władow, wydając rozkazy swym ludziom. Zeszli ze skrzyni i stanęli w szyku bojowym.

Przed nimi ciągnął się czteropiętrowy pasaż komunikacyjny. Przy ścianach biegły chodniki dla pieszych. Koniec pasażu, oddalony o dwieście jardów, ginął w mroku, ale z opisu Warakowa wiedzieli, że powinna znajdować się tam ogromna sala, do której przylegało laboratorium.

– To jest to! – oświadczył doktor. – Oto cel naszej drogi!

– Czekają na nas – stwierdził kapitan.

– Niestety, też tak sędzę. – Rourke załadował rewolwery.

– Nie ma jakiejś drogi, którą można ich obejść? – zapytała Rosjanka.

– Niestety, Natalio, nie ma. Myślę, że zanim otworzą ogień, pozwolą nam podejść nieco bliżej.

– Doktorze, my opanujemy pozycje KGB. Zadaniem twoim i towarzyszki major będzie zniszczenie komór kriogenicznych. Chciałbym, abyście przeżyli ten szturm, zagładę i doczekali powrotu amerykańskich promów. Może po pięciuset latach zacznie się odradzać cywilizacja, odbudujecie miasta... Pamiętaj, doktorze, że mój oddział nazywał się „Borba”, to po waszemu...

– Wiem, „Walka”!

– Tak, walka to nasz obowiązek, duch, nasze przeznaczenie. Może nazwiecie tak ulicę, plac zabaw, jakiś skwer... Cokolwiek, aby nas przypominało ludziom żyjącym w przyszłości...

Amerykanin westchnął ciężko i skinął głową.

– Po tym wszystkim, co rozegrało się w naszych czasach, rosyjska nazwa będzie w Ameryce czymś rzeczywiście zadziwiającym... – dodał kapitan. – Ale niech ludzie wiedzą, że Rosjanie nie byli wyłącznie najeźdźcami, że im także zależało na dobrze ludzkości. Przynajmniej niektórym...

– Towarzyszu kapitanie, żelaju udaczi – powiedział Rourke.

– Towarzyszu doktorze, życzę szczęścia – powtórzył jak echo Władow i uściskał Johna. Następnie zwrócił się do Natalii:

– Towarzyszko major. Wasz wuj był jednym z najwspanialszych radzieckich oficerów. Ze względu na niego i na własne zasługi przyjmijcie, towarzyszko, nasz salut.

Oficer stanął na baczność i krzyknął do swych podwładnych:

– Prezentuj broń!

Tiemierowna zamarła na chwilę ze wzruszenia, po czym wolno oddała honory. Czowała, że jest to ostatni salut, jaki w swym życiu komukolwiek oddawała.

– Do nogi broń!

Oddział radzieckich komandosów dumnie pomaszerował w kierunku wroga.
Rourke spojrział na dziewczynę. Dopiero teraz z jej oczu popłynęły łzy...

Rozdział LIII

Mause z trudem dobrnął do brzegu, podtrzymując zakrwawione ramię. Z wielkiej flotylli partyzantów pozostało najwyżej dwadzieścia parę łodzi.

Ujrzał, jak w odległości kilkudziesięciu jardów po jego lewej stronie wychodzi z wody pięciu Rosjan. Strzelił trzykrotnie, trafił, lecz pozostali gwardziści natychmiast odpowiedzieli ogniem. Mause poczuł straszliwy ból w prawej stopie. Pociski z Kałasznikowa rozłupały mu kostkę. Upadł na ziemię, nie przestając strzelać.

– Trzymaj się, Tommy! – usłyszał głos Marty’ego i donośny terkot jego pistoletu maszynowego. Stanonika wsparło trzech innych partyzantów i po chwili wszyscy Rosjanie leżeli martwi, a krew z ich ran wpływała szerokimi strumieniami do wód jeziora.

Operator podbiegł do ранego przyjaciela.

– Wszystko w porządku, Tommy?

– Czy ze mną wszystko w porządku? Zwariowałeś?! Prawie odstrzelili mi lewe ramię, zranili w nogę, a ty chcesz, abym był w porządku! Ale nie przejmuj się, dam sobie radę, tylko pomóż mi wstać. Kierujemy się do łagru numer siedem. To najbliższej. Ilu naszych pozostało?

– Może z pięćdziesięciu... Ocalało też siedem sowieckich łodzi patrolowych.

– Do diabła z nimi! I tak nie będziemy już przeprować się przez jezioro.

Stanonik podniósł wyjącego z bólu Mause’a. Z trudem poprowadził kuśtykającego dowódcę.

Dotarli na skraj wojskowego lotniska. Wokół nich zbierało się coraz więcej ocalałych z bitwy członków ruchu oporu. W sumie było ich już prawie sześćdziesięciu, a co chwilę dochodzili następni.

– Co ze strzelaniem, Tommy?

– Jedną rękę mam sprawną. Tylko załaduj mojego kolta. Marty spełnił prośbę przyjaciela i podał mu naładowaną broń.

– Więc teraz zabijemy paru parszywych Rusków i uwolnimy naszych chłopaków, aby w lepszym towarzystwie usmażyli się rankiem, kiedy kochane słońeczko spali całą atmosferę.

– Całe szczęście, Marty, że nie masz szans na przeżycie – zrzędlawie powiedział Tom – bo inaczej bym się obawiał, że sprzedasz moje upieczone ciało na befsztyki za puszkę piwa.

– Tak... Nie jesteś wart więcej niż jedna puszka piwa, ale bądź pewien, że bym się targował!

Roześmieli się i ruszyli w dalszą drogę. Mause miał wrażenie, że już nikt ich nie powstrzyma i z powodzeniem spełnią swoją misję.

Rozdział LV

Porucznik Fletcher oglądał przez lornetkę szykujące się do ataku oddziały Zachodniego Frontu Armii Czerwonej. Nikt nie zwracał uwagi na małą pocztową awionetkę z wymalowanymi na skrzydłach czerwonymi gwiazdami, dlatego porucznik mógł bez obaw przelecieć nad pozycjami wroga. Włączył nadajnik.

– Ciocia Taffy przygotowała przyjęcie z niespodziankami. Zaprasza wszystkich znajomych. Im szybciej wpadniesz, tym lepiej.

Fletcher nie mógł wprost powiedzieć, że na tyłach nieprzyjaciela zgrupowało się tysiąc pojazdów Teksańskiej Milicji Ochotniczej, od szybkich Harleyów poczynając, na szesnastokołowych, potężnych ciężarówkach obsadzonych uzbrojonymi po zęby kowbojami kończąc. Rosjanie nawet się nie zorientują, kiedy zostaną okrążeni i rozbici. Takie przyjęcie szykowała „ciocia Taffy”! Aby zwycięstwo było całkowite, „wszyscy znajomi”, czyli wojska Stanów Zjednoczonych II powinny zaatakować nieprzyjaciół jak najszybciej, wszystkimi siłami.

Fletcher miał nadzieję, że w sztabie głównym należycie odczytają jego wiadomość.

– Leć szybciej – polecił pilotowi. – Za chwilę uderzy Teksas!

Rozdział LVI

Władow i jego ludzie zajęli pozycje. Rourke obejrzał się. Przeciwny koniec tunelu zablokowali gwardziści. Teraz dywersanci nie mieli już drogi odwrotu, musieli tylko posuwać się do przodu!

– Czy to ja sprowadziłam na ciebie te wszystkie kłopoty, John? – szepnęła Natalia.

– Nie, to ja je sprowadziłem na ciebie. Gdybyś mnie nie spotkała, nie zabiłbym Karamazowa i on by dowodził w tej chwili bazą KGB, a ty byłabyś z nim, mając przeznaczoną dla siebie komorę kriogeniczną.

– Nigdy bym tego nie pragnęła.

– Wiem. Ja także... Położył dłoń na jej ustach.

– Zawsze będę cię kochał!

Przyciągnął do siebie dziewczynę i pocałował gorąco.

– Byłoby dla nas lepiej, gdybym tu zginęła...

– Nie mów tak! Ani nigdy nie myśl podobnie! Twoje życie jest zbyt wiele warte, abyś miała się go tak łatwo wyrzec. Pamiętaj, że jeżeli ty zginiesz, będę walczył z nimi tak długo, dopóki nie zastrzelę ostatniego z nich albo aż oni mnie nie zabiją...

W oczach dziewczyny pojawiły się łzy.

– Ale ty masz już żonę, a nie jesteś mężczyzną, który by...

– Nie jestem! Ale musisz mi zaufać...

– Wiesz, kiedyś mój wuj przynosił mi najpiękniejsze bajki świata, jak byłam małą dziewczynką...

Czytałam śliczną opowieść o śpiącej królewnie, którą piękny królewicz obudził pocałunkiem. Czy ty... czy po przebudzeniu ze snu w gacie narkotycznym mógłbyś... – Pochyliła głowę, przytulając się policzkiem do silnej męskiej dłoni, spoczywającej na jej ramieniu.

– Obudzić cię pocałunkiem?

Bardzo tego pragnął, ale nie wiedział, czy to uczyni. Jednak teraz wziął ją w ramiona i pocałował mocniej niż kiedykolwiek.

Rozdział LVII

Rourke wskoczył na motor. Spojrzał na Tiemierownę siedzącą za kierownicą forda. Radzieccy komandosi starli się już z gwardzistami. Amerykanin wsunął pod obie pachy pistolety maszynowe gotowe do strzału.

– Kocham cię, John! – Natalia wychyliła się z kabiny.

– I ja ciebie kocham! – zawołał, zapalając silnik. – Roźdiestwieński, ty stary dupku, zobaczmy, czy potrafisz mnie powstrzymać! – mruknął sam do siebie, pędząc z ogromną szybkością w wir walki.

Rozdział LVIII

Rourke był pewien, że obroną laboratorium dowodzi sam pułkownik Roźdiestwieński! Wiedział, że dla oficera KGB była to nie tylko walka o przetrwanie, o uratowanie kapsuł, ale też sprawa honoru. Po raz pierwszy Roźdiestwieński miał szansę wygrać ze znieawidzonym wrogiem!

Amerykanin położył się prawie na motocyklu, blokując kierownicą klatkę piersiową, i otworzył ogień z obu pistoletów maszynowych. Minał biegnących komandosów i wjechał do wielkiej, wysokiej i rześście oświetlonej sali, zastawionej kontenerami i pakami, za którymi kryli się gwardziści.

Zanim wyczerpały się magazynki w M-16, trafił siedmiu przeciwników. Odrzucił bezużyteczną broń i wydobyl z pasa Pythony. Skierował swój pojazd pod ścianę i okrążając salę, przegonił gwardzistów z za kontenerów.

Wtargnięcie Johna spowodowało niewielkie zamieszanie w szeregach wrogów, ich ogień nieco przycichł, pozwalając żołnierzom Władowa dotrzeć do sali. Zawrzała walka wręcz!

Żołnierze przestrzeliwali sobie głowy, przykładając lufy niemalże do skroni, rozpruwali brzuchy bagnetami, podrzynali gardła, miażdżyli czaszki kolbami karabinów.

W tej fazie walki przewaga była po stronie komandosów. Byli lepiej wyszkoleni, silniejsi, sprawniejsi i bardziej zdeterminowani.

Rourke zastrzelił kolejnego przeciwnika. Ujrzał, jak gwardzista mierzy z karabinu w Daszrozińskiego... Przedostatnim pociskiem przestrzelił napastnikowi gardło. Objechał kontener i wpadł wprost na czterech żołnierzach KGB. Ostatnią kulą strzaskał głowę najbliższego, po czym rzucił rewolwery. Gdy przed oczami ujrzał wylot lufy, jedną ręką podbił karabin przeciwnika, drugą wyciągając małego automatycznego Detonics'a 45. Każdy strzał trafiał w cel. Żołnierze byli tak blisko, że tryskająca z ich ran krew zalała twarz i ubiór Amerykanina.

– Wynoś się stąd, doktorze! – rozległo się wołanie Władowa. – Ty i major Tiemierowna musicie wykonać wasze zadanie, my zajmiemy się walką!

Przez wylot bocznego korytarza wbiegło do sali kilkunastu gwardzistów. Rourke zatoczył motocyklem kółko prawie przed ich nosem i pomknął w kierunku forda. Trzech napastników uczepliło się skrzyni, chcąc dotrzeć do szoferki.

Nie przyhamowując doktor schylił się i porwał z ziemi upuszczonego przez kogoś Kałasznikowa, zobaczył, że w magazynku pozostało jeszcze dwanaście pocisków i przybliżywszy się do samochodu, zestrzelił wszystkich trzech gwardzistów.

Przystanął obok okienka.

– John! Jesteś ranny?! – zawołała przerażona Natalia, widząc krew na jego twarzy.

– Nawet nie draśnięty! Widzisz? – Wskazał na jeden z bocznych korytarzy. – Ta droga musi prowadzić do laboratorium! Jedziemy tam!

– Dobra!

– Władow, niech cię Bóg chroni! – krzyknął Rourke do kapitana.

Oficer przebijał właśnie bagnetem pierś powalonego wroga.

– I ciebie także! – odkrzyknął.

Zza kontenera wyskoczył rosły gwardzista i rzucił się z pięściami na Amerykanina. Ten spokojnie poczekał, aż przeciwnik zbliży się, po czym jednym ruchem myśliwskiego noża podciął Rosjaninowi gardło.

Rozdział LIX

Wjechali po wąskiej rampie do mrocznego tunelu. Gwar walki pozostał w tyle, cichnąc coraz bardziej.

– Zatrzymaj się! – zawołał Rourke do Natalii.

Stanęli i załadowali broń. Amerykanin stracił swoje rewolwery, nie mogąc odszukać ich na pobojuwisku, zdobył za to Kałasznikowa. Posiadając dodatkowo M-16, dwa Detonics'y oraz pistolet automatyczny, nie mógł czuć się bezbronny.

– Ludzie Władowa są najlepszymi żołnierzami Związku Radzieckiego – powiedziała z dumą dziewczyna. – Już niedługo... zostaną wyeliminowani – posmutniała. – Na jednego komandosa przypada dziesięciu gwardzistów. Nie wytrzymają takiego naporu...

– Wiem – przytaknął Rourke. – Kiedy dostaniemy się do laboratorium, nasze szansę przeżycia wzrosną. Ludzie Roźdiestwieńskiego będą obawiali się strzelać do nas, by nie uszkodzić butli z gazem narkotycznym czy komór kriogenicznych.

Z głębi korytarza dobiegała coraz silniejsza kanonada. Ludzie Władowa bronili się dzielnie. Kiedy ostatni strzał ucichnie, oznaczać to będzie, iż wszyscy już polegli... Doktor nie sądził, by któryś z tych walecznych „mołoców” dał się pojmać.

– Wynośmy się stąd! – zakomenderował, ruszając w dalszą drogę.

Rozdział LX

Pozostało przy nim tylko pięciu ludzi. Reszta, wśród nich obaj żołnierze wywiadu, zginęła w walce.

– Towarzyszu kapitanie, nie widziałem nigdzie Roźdiestwieńskiego – powiedział Daszroziński.

– Jestem pewien, że gdzieś tu jest! Może zaszył się w pobliżu laboratorium.

Walka na kilka minut ustała. Oddziały KGB wycofały się w głąb pasażu, przegrupowując się do ostatecznego szturmu.

– Myślę, towarzysze, że powinniśmy dokonać kontruderzenia, uprzedzić ich zamiary. Nic innego nam nie pozostało – Władow uśmiechnął się nieznacznie.

– Tak, towarzyszu kapitanie, ja myślę podobnie – oświadczył porucznik. – Kiedy ruszą, wypadniemy na nich! Pokażemy, jak walczą prawdziwi Rosjanie!

– Dobrze. Sprawdźcie broń i przygotujcie bagnety. – Oficer spojrział w głąb korytarza. Poczul szum w głowie po uderzeniu kolbą. Krwawiły jego liczne powierzchowne rany. Założył bagnet na lufę swego karabinu. Pomyślał o śmierci. Nie wierzył w życie pozagrobowe, wierzył jedynie w życie prawdziwego Rosjanina. I w bohaterską śmierć!

– Towarzyszu kapitanie, jesteśmy gotowi!

Spojrział na niedobitki swojego oddziału, na zakrwawionych, kulejących ludzi.

– Niedługo ruszamy, przyjaciele. Ich jest ponad stu, nas tylko sześciu. Ale zabijemy ich wielu, może dwudziestu, może trzydziestu, bo jesteśmy chlubą naszego narodu! Jesteśmy najwspanialszymi żołnierzami, jacy kiedykolwiek żyli na świecie! Jeżeli któryś z was wyznaje jakąś religię, to najwyższa pora, by się pojednał ze swoim Bogiem, bo za minutę czy dwie spotka się z nim osobiście. To nasza ostatnia bitwa.

Nigdy nie miałem wspanialszych podwładnych niż wy, towarzysze! Podał każdemu dłoń, najdłużej ściskając rękę porucznika.

– Mój najlepszy przyjacielu – szepnął. – Żegnaj! Władow w swym życiu płakał jeden jedyny raz, gdy kobieta, która miał poślubić, zginęła w wypadku samochodowym. Teraz w oczach Władowa ponownie pojawiły się łzy. Stał na baczność i zsalutował swoim ludziom.

Z głębi pasażu doleciały krzyki i strzały. Oddział KGB ruszył do szturmu.

Kapitan uniósł rękę w górę.

– Do ataku! – zawołał, rzucając się do szaleńczego biegu. Za nim ruszyli pozostali, oddając strzał za strzałem.

Oficer kątem oka dostrzegł, jak pada dwóch jego żołnierzy. Jeden zdążył zawołać:

– Niech żyje... – i skonał, nie dokończywszy zdania. Starli się z nadciągającymi gwardzistami.

Władow kłuł i rznął bagnetem ciała wrogów, strzelając jedynie z najbliższej odległości, aby mieć pewność, że żadna kula nie chybi. Wokół niego robiło się coraz tłoczniej. Ścieśniał się krąg nieprzyjaciół. Poległ Daszroziński, padli pozostali... Pozostał jedynie on!

Wytrącili mu karabin z ręki. Bronił się nożem. Zabił jakiegoś majora KGB, rozciął czyjąś twarz o tatarskich rysach...

Nie czuł już bólu, jedynie ogromny chłód. Nie wiedział, czy to z powodu upływu krwi, szoku, czy zbliżającej się śmierci. Cios bagnetem w bok powalił go na ziemię, kolejne uderzenie o włos minęło głowę... Ale nie wypuszczał noża z ręki. Z całych sił wbił ostrze w podbrzusze napastnika. Ten zawył przeraźliwie, znikając z pola widzenia Władowa.

Kapitan ujrzał, jak w jego pierś kieruje się z dziesięć bagnetów. Zdążył krzyknąć jedynie bojowe zawołanie swojego nie istniejącego już oddziału – „Walka”.

Nie zamknął oczu ani nie odwrócił głowy, kiedy ostrza zatopiły się w jego ciele...

Rozdział LXI

Reed roztrzaskał ostatnim nabojem twarz oficera KGB i rozejrzał się wokół. Tunel był pełen ciał, krwi i dymiących łusek. Pozostało przy nim jeszcze sześciu Amerykanów.

Przed sobą miał drzwi wiodące do centrum ogniowego. Tak przynajmniej głosiła wisząca na nich tabliczka. Naparł na nie ramieniem, lecz nie ustąpiły.

– Niech się pan odsunie, pułkowniku – rozległ się za jego plecami spokojny głos sierżanta Dresslera. – Są metalowe, nie wyważy ich pan ramieniem.

Oficer posłuchał, a Dressler przestrzelił zamek elektroniczny. Reed pchnął drzwi, a te uchyliły się ze zgrzytem.

– Macie jeszcze ten plastik, sierżancie? – zapytał.

– Tak, panie pułkowniku. – Żołnierz wyciągnął spod munduru kilkufuntowy ładunek. – Jeszcze ciepły! Zamierza pan wysadzić centrum ogniowe?

– Nie. Prezydent podpowiedział mi sposób, w jaki można unieszkodliwić laser. Plastikem chcę zaminować te cholerne drzwi.

– Ale wtedy nie będzie mógł pan już wyjść!

– Ale i oni za mną nie wejdą! Niech Bóg was chroni, sierżancie!

– Pana także, pułkowniku. Do zobaczenia! – powiedział Dressler, blokując z pozostałymi Amerykanami dostęp do tunelu.

Słysząc już było nadciągających gwardzistów.

– Pewnie, do zobaczenia... – mruknął Reed, instalując ładunek wybuchowy. Musiał się spieszyć, jego ludzie nie powstrzymają zbyt długo przeważających sił wroga...

Rozdział LXII

Zatrzymali się przy krótkiej rampie prowadzącej do laboratorium. Czekali z bronią gotową do strzału.

Nic się nie wydarzyło...

Drzwi forda stuknęły i Natalia ostrożnie wyszła z kabiny, celując z M-16.

– Gdzie oni są, John?

Rourke bardzo by pragnął poznać odpowiedź na to pytanie. Czuł, że popełnili jakiś błąd, nieostrożność... Nigdzie w korytarzu nie napotkali przeszkody, nikt nie stawiał im oporu, nie wzbraniał przejazdu. Jakby nagle zniknęli wszyscy ludzie z wyjątkiem ich dwojga.

– Może oni...???

– Może wszystkie siły KGB walczą z ludźmi Władowa?

– Nie sędzę. – Stańta z boku. – Co robimy?

– To, po co tu przyjechaliśmy! Wchodzimy do środka! Wspięli się po rampie.

Wokół panowała niesamowita cisza, umilkły nawet odgłosy walki, dolatujące jeszcze przed chwilą od strony wielkiej sali. Rourke pchnął wahadłowe drzwi i odskoczył na bok. Nikt do niego z wewnątrz nie strzelił...

– Wchodzimy w pułapkę, John...

– Nie mamy wyboru.

Doktor wolno wsunął w otwór wejściowy lufę Kałasznikowa. Nadal nic się nie działo.

– Zostań tu! – polecił szeptem dziewczynie, a sam wśliznął się do laboratorium.

W obszernym, jasno oświetlonym pomieszczeniu nie było nikogo!

Doktora zastanowiło jedynie, czemu laboratorium jest takie niskie. Liczyło zaledwie dziesięć stóp wysokości.

– Wszystko w porządku, Natalia. Stań w drzwiach i obserwuj korytarz! – zawołał.

Ruszył wolno przed siebie, przyglądając się wyposażeniu. Pod jedną ze ścian na niskiej półce stały trzylitrowe butle z grubego szkła, w których połyskiwał zielonkawy płyn. Płynny gaz narkotyczny.

Po przeciwległej stronie leżały drewniane skrzynie różnej wielkości. Koniec pomieszczenia, tonący w lekkim półmroku, zajmowały komory kriogeniczne, poustawiane pionowo niczym trumny w zakładzie pogrzebowym.

Zbliżył się do butli z gazem narkotycznym...

Zamarł!

Nad jego głową rozległ się niepokojący szmer, część sufitu rozsunęła się, a z otworu wyjrzały

dziesiątki karabinów.

– Natalia, strzelaj w górę! – zawołał, sam unosząc broń.

– Chwileczkę, doktorze Rourke!

Amerykanin spojrzał w kierunku, z którego dobiegał głos.

Spomiędzy komór wyszedł mężczyzna po czterdziestce w doskonale dopasowanym mundurze oficera KGB. Po jego bokach stało dwunastu gwardzistów.

– I tak umrzecie, ale najpierw chciałbym trochę pogawędzić. – odezwał się mężczyzna.

Rourke nerwowo obliznął usta.

– Jak widzisz, doktorze, mimo świetnie obmyślonemu planu, twój cel nie zostanie zrealizowany. –

Roźdiestwieński uśmiechnął się promiennie. – Nie poniżę was, każąc rzucić broń. To niepotrzebne. Zanim byście zdążyli jej użyć, już bylibyście martwi.

Tiemierowna wolno ruszyła w stronę pułkownika. Gwardziści cofnęli się o krok, jakby się jej przestraszyli.

– Droga towarzysko, wyglądasz równie wspaniale jak dawniej! Jesteś zbyt ładna jak na zdrajczynię.

– To ty jesteś zdrajcą! – wyszeptała Natalia zbielejącymi z wściekłości wargami. – Jesteś taką samą kanalią jak mój mąż!

– To niestosowne obrażać dobre imię kogoś, kto już nie żyje i nie może się bronić, towarzysko.

– On i dobre imię! Perwersyjność, sadyzm, alkoholizm, znęcanie się nad własną żoną... O tak, miał rzeczywiście dobre imię.

– Nie interesują mnie kłopoty rodzinne, towarzysko. Stosunki między mężem a żoną to ich prywatna sprawa, a poza tym nikt nie jest ideałem. Ale Karamazow był moim przyjacielem. Gdyby nie on, nic bym nie wiedział o projekcie „Eden”, o gazie narkotycznym, o tych komorach i nie miałbym możliwości przetrwania zagłady!

Dłonie dziewczyny nerwowo zacisnęły się na uchwytych pistoletów maszynowych, zwisających na obu ramionach. Roźdiestwieński, widząc to, roześmiał się.

– Towarzysko, możecie nawet odbezpieczyć swoją broń, jeżeli chcecie, ale nic wam to nie da. Zginiesz, jak tylko skierujesz ją na mnie.

Natalia sprawnie odbezpieczyła pistolety i położyła palce na spustach obu automatów.

– Jeżeli ma to wam poprawić samopoczucie... – pułkownik roześmiał się ponownie. –

Przygotowaliśmy się na wasze przybycie i nic już nie możecie na to poradzić!

– Tyle lat przeżyłem, a nie wiedziałem, że mam taki dar rozśmieszania ludzi – mruknął Rourke.

– To bardzo źle, doktorze, że tak późno się o tym przekonałeś. Nie będziesz już miał czasu na rozwijanie swych zdolności aktorskich.

– Dziękuję, drogi pułkowniku, że zezwoliłeś mi przygotować broń do strzału – powiedziała Tiemierowna.

– Nie ma za co, moja droga. Lubię czynić drobne gesty, które nic nie kosztują. – Dowódca KGB nie tracił dobrego samopoczucia. – Wystarczy, że uniesiesz jeden pistolet, a...

– Nie muszę ich unosić – przerwała Natalia z uroczym uśmiechem.

– Tak?... – na twarzy pułkownika pojawił się niepewny uśmiech.

– Obie lufy napchałam C-4, po pół kilo plastyku tkwi w każdej. Wystarczy, że naciśnę spust, a możesz się pożegnać z własnym życiem i z... gazem narkotycznym! Wątpię, czy szkło wytrzyma podmuch eksplozji.

– Kłamiesz... Zabijcie ją...

– Spróbujcie! Przekonacie się, czy skłamałam. Żaden z gwardzistów się nie poruszył.

– Nie mogłabyś...

– Czemu? Nawet gdybyście odstrzelili moje ramiona, to skurcz mięśni szarpnie spustem, a wybuch zniszczy butle – waszą jedyną nadzieję na przeżycie!

– Ale twoją także...

– Przybyliśmy tu po kilka komór i trochę gazu narkotycznego oraz po to, aby zniszczyć wasz sprzęt – odezwał się spokojnym tonem Rourke. – Ale możemy się dogadać, prawda? Weźmiemy sześć komór i sześć butli. Resztę pozostawimy wam. Umowa stoi?

– Ale do każdej komory wystarczy tylko kilka mililitrów płynu... – zaproponował Roźdiestwieński.

– Bierzemy sześć bez dalszych targów. Skoro potrzeba tak mało gazu, to dla twoich ludzi także wystarczy.

– John! – zawołała Tiemierowna.

– Spokojnie, Natalia. Zmieniłem nasze plany. Stosownie do okoliczności...

Pułkownik oblizał nerwowo wargi.

– Stąd nigdy nie wydostaniecie się żywi. Ze schronu.

– Możesz wysłać za nami swoich chłopaków, ale pieszo nas nie dogonią. A ford i Ninja jeżdżą wspaniale, zwłaszcza motor. To twój?

– Tak.

– Chyba nie masz pretensji, że go sobie pożyczyłem? Zostawię ci go na powierzchni. Teraz odejdę do samochodu i podprowadzę go pod drzwi laboratorium. Natalia przez cały czas będzie was miała na oku. Kiedy paru twoich ludzi załaduje komory, butle i resztę wyposażenia na ciężarówkę, wszyscy staniecie pod ścianą, bym mógł was dobrze widzieć. Wtedy wezmę na cel resztę butli, a Natalia dołączy do mnie. Jeden fałszywy ruch z waszej strony, a zaczniemy strzelać. To chyba prosta umowa, co? Możesz się nie obawiać, pułkowniku, że pierwszy otworzę ogień. Gdybym zniszczył wasz zapas gazu, nie mielibyście już nic do stracenia i z pewnością byście nas zabili. A my...

– A my spotkamy się ponownie za pięćset lat! – przerwał mu dowódca KGB. – I wtedy rozstrzygniemy nasz spór.

– Pewnie – Rourke uśmiechnął się lekko. – Niech twoi chłopcy ostrożnie ładują butle. Nie chcemy zmarnować ani jednej bezcennej kropli. Prawda?

Roźdiestwieński milczał.

– Natalia, w porządku?

– Tak, możesz pójść po samochód. Amerykanin wolno wycofał się w kierunku wyjścia.

Rozdział LXIII

Reed wąskim korytarzem dotarł do przestronnej sali zastawionej pulpitemi, ekranami i komputerami. Zaskoczeni operatorzy nie zdążyli nawet uciec, oficer zastrzelił ich z zimną krwią, mimo iż nie byli uzbrojeni.

Pochylił się nad głównym pulpitem naprowadzającym system obronny. Włączył mechanizm otwierający kopułę. Z pobliskiego korytarza poczuł podmuch chłodnego powietrza. Uaktywnił system kontrolny. Laser był gotów do użycia... W wielkim akceleratorze cząsteczki energii krążyły coraz szybciej... Gdyby z działa nie oddano ani jednego strzału, po pięciu minutach należało wyłączyć akcelerator, inaczej wzrastająca w jego wnętrzu energia rozsądziłaby całe urządzenie.

O to właśnie chodziło Reedowi. Miał nadzieję, że Chambers się nie mylił, opowiadając mu o tym.

Zastanowił się, czy we wnętrzu kopuły nie pozostali jeszcze jacyś Rosjanie. Wątpił w to, bo inaczej już dawno zjawiliby się w sali, aby zastrzelić intruza. Lecz na wszelki wypadek rozbił kolbą pistoletu pulpit, zmiażdżył przyciski, powyrywał kable. Już nikt nie był w stanie wyłączyć akceleratora!

Usiadł w fotelu, dysząc ciężko. Przymknął oczy i pomodlił się za Rourke'a, za powodzenie misji, za realizację projektu „Eden”. W podbrzuszu pułkownik czuł straszliwy ból, musieli przestrzelić mu jelita. Nie przejmował się tym, wiedział, że niezbyt długo będzie go czuł.

Wstał, wyciągnął spod munduru zakrwawiony, przedziurawiony kulą amerykański sztandar i wyszedł z sali, kierując się do suwnicy, na której zainstalowano działko laserowe.

Rozdział LXIV

Komory, wyposażenie i pięć butli było już załadowanych na tył forda. Szósta butla stała u stóp Natalii. Nie opodal stali gwardziści.

– Jeżeli któryś spróbuje zatrzymać major Tiemierownę, strzelam do butli – ostrzegł Rourke. – Nawet jeżeli rozbiję tylko kilka, nie będziecie mieli czasu na wyprodukowanie gazu, by wystarczyła ona dla całego personelu bazy.

– Oni nie mają z czego wyprodukować płynu – oświadczyła pewnym głosem dziewczyna. – Mój wuj to powiedział. Formuła była ściśle tajna i znają ją jedynie naukowcy podróżujący promami kosmicznymi. Inni znający surowce zginęli podczas bombardowania jedynej na świecie fabryki Kriogeniku.

– Jesteś dobrze poinformowana, towarzyszeko – warknął Roźdiestwieński. – Jeżeli starczy mi czasu, osobiście zastrzelę tego sukinsyna, tego zdrajcę Warakowa.

Natalia uniosła broń.

– Jeszcze jedno słowo o moim wuju, a zniszczę butlę z gazem.

– Wynoście się stąd! – zawołał pułkownik. Dziewczyna podniosła butlę i zaczęła się cofać. Rourke wiedział, że to najgroźniejszy etap operacji. Wchodziła na linię jego strzału, a gdy Rosjanie uznają, że dziewczyna oddaliła się dostatecznie daleko, mogą otworzyć ogień.

– Poczekaj, Natalia! – nakazał i zwrócił się do gwardzistów: – Rzućcie broń!

– Tego nie było w umowie. – Roźdiestwieński zrobił krok do przodu.

– Ostrzegam!

– Dobrze, zróbcie, co on każe – polecił pułkownik swoim podwładnym.

Rozległ się łoskot ciskanych na podłogę pistoletów i karabinów. Tiemierowna dotarła już do Amerykanina.

– Znow zmieniałeś plany, John? Stosownie do okoliczności...?

– Stosownie do okoliczności – powtórzył niczym echo.

– Kocham cię, John.

Wypuściła z rąk butlę. Szkło rozbiło się u jej stóp, bezcenna substancja rozlała się po podłodze i wyparowała w małych obłoczkach zielonkawego gazu.

– Co robisz, krowo! – zawył radziecki oficer. Dziewczyna skierowała broń na butle stojące z tyłu forda.

– Jeżeli spróbujecie powstrzymać mojego przyjaciela, zniszczę wasz zapas gazu.

– Wybuch może zabić doktora! – zawołał Roźdiestwieński.

– A ty go możesz zastrzelić! Każdy z nas może dokonać własnego wyboru. Co za tragedia, mistrz

kontrwywiadu wykiwany!

– Dziwka!

– Pułkowniku, dopóki w naszym wozie jest pięć całych butli, dopóty masz szansę je odzyskać.

Teraz rozbiję wasz zapas!

Długa seria z M-16 roztrzaskała szklane pojemniki. Nikt nie próbował powstrzymać Johna, nikt nawet nie schylił się po upuszczoną broń. Rosjanie wpatrywali się w niego zrezygnowani.

Rourke uśmiechnął się szeroko, patrząc na swe dzieło.

– Może moglibyście wyskrobać trochę płynu ze skorupki, ale wątpię, czy zdążycie, zanim wyparuje. Żegnam, pułkowniku, miło nam się gawędziło, ale rodzina czeka. Pojadę za samochodem, trzymając na muszce ostatnie butle z gazem, jakie istnieją na Ziemi. Zobaczymy, czy uda ci się je odebrać!

– Zawsze wiedziałem, że wszystkie amerykańskie kobiety to skończone dziwki! – krzyk Roźdiestwieńskiego przepojony by wściekłością.

– Rozumiem, że taka strata może wyprowadzić człowieka z równowagi, ale nie pojmuję twoich słów – odparł doktor, wsiadając na motocykl.

– Tylko skończona dziwka mogła urodzić takiego cholernego skurwysyna jak ty, Johnie Rourke!

– Oj, pułkowniku! – Amerykanin uniósł ostrzegawczo rękę. – Bo się na koniec pogniewamy!

Ruszaj! – zawołał do siedzącej w szoferce Natalii.

– Niech was diabli...

Oba pojazdy ruszyły w głąb tunelu.

Rourke, trzymając Kałasznikowa wycelowanego w tył ciężarówki, obejrzał się za siebie i widząc stojącą w drzwiach laboratorium sylwetkę pułkownika, krzyknął szyderczo:

– Roźdiestwieński, pocałuj mnie w dupę!

Rozdział LXV

Pułkownik wymknął się z laboratorium bocznymi drzwiami i podbiegł do stojących w sąsiednim pasażu pojazdów. Przy Pontiacu czekał zdenerwowany porucznik.

– Co z grupą, która walczyła w wielkiej sali?

– Był to oddział specjalny „Walka”...

– Co z nimi?

– Wszyscy zginęli, towarzyszu pułkowniku, ale zdążyli zabić sześćdziesięciu trzech naszych ludzi...

– A co z oddziałem, który zaatakował centrum ogniowe?

– Zabiliśmy wszystkich Amerykanów, lecz zdążyli założyć ładunki wybuchowe przy drzwiach prowadzących do kopuły...

– Idioci! W takim razie w środku musi być jeszcze paru Amerykanów!

– Saperzy już rozminowują przejście. Towarzyszu pułkowniku... – zaczął niepewnie porucznik.

– Co jeszcze?

– Major Rewnik został zabity przez dowódcę dywersantów.

– Więc Rewnik nie żyje... Był zbyt głupi, aby żyć! Wiecie, co się wydarzyło w laboratorium?

– Tak.

– Przejmujecie obowiązki Rewnika, poruczniku. Odblokujcie drogę zbiegom, aby mogli spokojnie przejechać. Zapewne kierują się w stronę lotniska. Musimy zabić doktora Rourke’a, zanim zniszczy ostatnie butle z gazem, później wozy bojowe zablokują ciężarówkę z obu stron, uniemożliwiając major Tiemierownej opuszczenie kabiny. Wciąż możemy wygrać tę bitwę! Ale gdyby dotarli do samolotów, należy ich bezwzględnie zniszczyć, nie zważając na nic!

– Ale kriogenik...

– Lepiej, by nikt nie przeżył zagłady – przerwał pułkownik – niż by miał to być ten cholerny Amerykanin z przyjaciółmi. Ja wezmę kilkunastu ludzi i ruszam za nimi w pościg. Nasze pojazdy są szybsze, powinniśmy bez trudu dopaść zbiegów na okrężnicy i zlikwidować!

Rozdiestwieński wszedł do Pontiacu i uruchomił silnik. Życie przestało go interesować, pragnął tylko dopaść Rourke’a i Tiemierownę. I zemścić się!

Rozdział LXVI

Jechali dosyć wolno, niecałe trzydzieści mil na godzinę. Rourke co chwilę oglądał się niespokojnie, czekając na pogoń.

Wreszcie doczekał się grupy pościgowej!

Usłyszał donośny ryk motorów i daleko za sobą ujrzał dwanaście lśniących złotem Hond.

– Skąd oni biorą taki sprzęt? – mruknął do siebie, kiwając głową z niedowierzaniem. – Chyba pożyczyci od rockersów...

Za motocyklami ukazał się ciemny Pontiac, a dalej dwa opancerzone wozy bojowe. John dodał gazu, podjeżdżając pod drzwi szoferki.

– Mamy towarzystwo! – zawołał do Natalii. – Szybciej! Dziewczyna zerknęła w boczne lusterko i docisnęła pedał.

Jednak z powodu cennego ładunku nie mogli jechać z największą szybkością. Grupa pościgowa zbliżała się nieubłaganie z każdą sekundą.

Doktor zastanowił się, czy nie porzucić motocykla i nie wskoczyć na tył ciężarówki, ale odrzucił ten pomysł. Nie powstrzymałoby to gwardzistów od doścignięcia i zatrzymania forda. Oczywiście, w takim przypadku mógł zniszczyć surowicę kriogeniczną, lecz co dalej? Zresztą potrzebował jej dla żony, dzieci, Paula... Roźdiestwieński musiał sobie zdać z tego sprawę, dlatego zadziałał tak energicznie.

Zawrócił motor. Pędził teraz gwardzistom na spotkanie. Trzymając kierownicę lewą ręką, prawą uniósł pistolet maszynowy i nacisnął spust. Kule dosięgły czterech gwardzistów, jeden z zabitych wpadł pod motocykl towarzysza, wykolejając go.

Kałasznikow był pusty. Rourke zaklął, odrzucił opróżniony pistolet i pomknął za znikającym na zakręcie fordem.

Rozdział LXVII

Zmechanizowany oddział KGB był coraz bliżej.

Rourke usłyszał, jak Natalia naciska klakson. Machnął ręką, aby przyspieszyła. Miał nadzieję, że zobaczy jego gest w lusterku wstecznym. Ponownie kilkakrotnie nacisnęła klakson.

Nagle zrozumiał, że usiłuje mu coś przekazać alfabetem Morse'a.

Kreska... kropka... kreska... kropka... kropka... – C-4 – wyszeptał. – C-4!

Czemu wcześniej o tym nie pomyślał?! W torbie przewieszanej na ramieniu miał pięć funtów plastyku. Sięgnął ręką do chlebaka i wyciągnął niebezpieczny ładunek. Plastyk był miękki, rozgrzany ciepłem ciała, łatwo ugniatał się w dłoniach. Doktor utoczył dwie dwufuntowe kule.

Rzucił jedną wzdłuż uda na ziemię, tak by gwardziści nie zauważyli i odwrócił się, ściskając w prawej ręce pistolet.

Motocykliści dojeżdżali już do ładunku...

Nacisnął spust... i chybił. Strzelił ponownie i znowu nie trafił.

„Cholera! – pomyślał. – Za szybko jadę!”

Przyhamował trochę i wystrzelił po raz trzeci.

Podmuchi eksplozji szarpnęła Ninją, a John o mało nie stracił panowania nad maszyną. Wyprowadził motor na prostą i obejrzał się. Broczący krwią gwardziści leżeli obok powywracanych Hond, nie ocalał ani jeden. Po martwych ciałach przetoczyły się wozy bojowe. Ich załogi strzelały przez otwory strzelnicze i pociski zagwizdały wokół Rourke'a.

Ciemny Pontiac skręcił pod lewą ścianę tunelu, przyspieszył gwałtownie. Jego kierowca miał zamiar wyprzedzić forda i zająć mu drogę.

Amerykanin podążył mu na spotkanie. Nie strzelał, w pistoletach pozostało już niewiele pocisków i musiał je oszczędzać. Za szybą auta dostrzegł pochylonego nad kierownicą Roźdiestwieńskiego. Wystrzelił dwukrotnie, tłukąc szkło, jednak nie czyniąc pułkownikowi żadnej krzywdy.

W ostatniej chwili zjechał przed maski rozpędzonego Pontiac, unikając kolizji, odwrócił motor i pogonił za oddalającym się samochodem. Role się odwróciły, John ze ściganego zamienił się w ścigającego!

Ujrzał, jak przez boczne okno wysuwa się lufa pistoletu maszynowego. Po terkocie rozpoznał szybkostrzelny Uzi. Poczł lekkie wstrząsy motocykla. Kule dziurawiły obudowę kierownicy.

„Jeszcze trochę, a przestrzeli mi bak!” – przestraszył się Rourke. Dodał gazu i dogonił limuzynę. Pochylił się na siodelku i celując uważnie, strzelił.

Nie w człowieka, lecz w tylną oponę.

Rozległ się huk pękającej dętki, samochodem zarzuciło, rozległ się zgrzyt miażdżonej karoserii, rozleciał się silnik, z uszkodzonego baku wyciekło paliwo.

Rourke nie miał czasu sprawdzać, czy Roźdiestwieński przeżył wypadek, wozy bojowe wciąż ścigały ciężarówkę prowadzoną przez Natalię.

Przejeżdżając obok rozbitego samochodu, wystrzelił do rozlanej benzyny i w jednej sekundzie wrak stanął w płomieniach.

Dogonił forda, rzucił na drogę drugą kulę plastyku i powtórzył swój poprzedni manewr, tym razem bez kłopotu trafiając w ładunek. Eksplozja wyrzuciła w górę opancerzony samochód, który dwukrotnie koziółkując w powietrzu, opadł na ziemię. Wyglądał jak wielki, rozdeptany stalowy żuk.

Amerykanin zbliżył się do boku ciężarówki, złapał rękami za skrzynię i odbijając się od siodełka, wskoczył na tył forda.

Wspaniały i kosztowny Kawasaki Ninja, pozbawiony kierowcy, jechał jeszcze przez chwilę samotnie za ciężarówką, jakby chciał ją doścignąć, aż skręcił w lewo i rozbił się o ścianę.

– Szkoda, że nie mogłem jej zabrać – powiedział do siebie Rourke. – Doskonała maszyna!

Z głębi tunelu, z którego wyjechali, usłyszał donośne wołanie:

– Zabijcie ich! Zabijcie ich za wszelką cenę! Jednak Roźdiestwieński przeżył!

Rozdział LXVIII

Reed otarł pot z twarzy i kontynuował swoją wspinaczkę. Do wierzchołka suwnicy miał coraz bliżej... Drętwiały mu ręce, nogi, ale piął się niestrudzenie. Wydostał się już ponad poziom otwartej kopuły i widział rozciągający się wokół szczytu wspaniały świat, którego nie miał już więcej ujrzeć.

Zachód słońca był przepiękny, jakby żywcem przeniesiony z barwnych widokówek przysyłanych z Hawajów.

„Czy to ostatni zachód słońca dla ludzkości?” – pomyślał.

Bo to, że on widzi ostatni zachód słońca w swoim życiu – wiedział na pewno.

Miał już tylko jedną rzecz do zrobienia.

Rozdział LXIX

Rourke ze zręcznością cyrkowego ekwilibrysty dotarł do szoferki pędzącego forda i wśliznął się przez drzwi do środka.

– Jeżeli nic nas nie zatrzyma, niedługo powinniśmy dotrzeć do hangarów. Mam nadzieję, że bramy nie będą zamknięte – zawołała Natalia.

– Powinny być otwarte. Zamyka się je przecież hermetycznie o zachodzie słońca, a do zmroku mamy jeszcze kilkanaście minut.

– Mogą zamknąć wcześniej...

– Nie sędzę, bo wtedy uaktywniają się wszystkie systemy wewnętrzne bazy. Nie będą sobie zadawali tyle trudu. Martwmy się lepiej o ostatni wóz pancerny.

– Masz jakiś plan? – zapytała.

– A masz jeszcze plastik? Podała mu swój chlebak.

– W środku.

– Dobra, dodaj gazu, aby nas nie dopadł. – Amerykanin wyciągnął C-4 i zaczął go ugniatać. Goniący ich pojazd był coraz bliżej, słyszeli, jak wystrzeliwane z niego pociski dziurawią skrzynię forda.

– Powiedziałem: szybciej! Już nas prawie ma! Wjechali w ostry zakręt, znikając na chwilę z oczu goniących ich gwardzistów.

– Zaraz będziemy we właściwym miejscu. Jak ci powiem, to wysadzisz mnie w tunelu i jak najszybciej odjedziesz o sto jardów.

Następny ostry zakręt. Ciężarówką zarzuciło. Usłyszeli brzęk tłuczonego szkła. Pękła butla z surowicą kriogeniczną. – Tutaj! Dziewczyna ostro zahamowała, Rourke wyskoczył.

– A teraz zjeżdżaj! – zawołał.

Na zakręcie pojawił się wóz bojowy.

Doktor odczekał chwilę, aż pojazd podjedzie bliżej, wziął wielki zamach i cisnął z całych sił plastikową kulę.

Trafił idealnie w przód maski. Ciepły plastik przylgnął do karoserii.

– Mam cię, kotku!

Amerykanin strzelił i... chybił.

– Chyba się starzeję, coraz częściej mi się to zdarza – mruknął przez zaciśnięte zęby i wystrzelił ponownie. Także bez rezultatu. Pojazd KGB rósł w oczach! John stał już zbyt blisko, aby zaryzykować kolejny strzał, mógłby zostać posiekany przez odłamki rozbitego wozu.

Odwrócił się i pobiegł ile sił w nogach. Był to chyba najszybszy bieg w jego życiu! Ujrzał wylot

tunelu wentylacyjnego. Skręcił w jego stronę, wskoczył do otworu, wychylił się na ułamek sekundy i oddał jeden celny strzał do oddalonego zaledwie o sześć jardów pojazdu.

Z takiej odległości nie mógł nie trafić!

Uciekając na czworakach w głąb tunelu, usłyszał głośną eksplozję. Do otworu wentylacyjnego wtargnął gorący podmuch, parząc mu nogi i pośladki.

Oczekał chwilę i powrócił do pasażu. Kilka kroków od wylotu tunelu piętrzyła się kupa pogiętego żelastwa.

Rozległ się sygnał klaksonu. To wzywała go Natalia.

Rozdział LXX

Zbliżyli się do stalowych wrót oddzielających pasaż komunikacyjny od hangarów. Były podniesione.

– Natalia, widzisz te zaplombowane drzwi? – Rourke wskazał niewielką niszę na prawo od wjazdu. – Według mnie tam mieści się mechanizm ręcznego otwierania bramy hangaru. Zrobisz to?

– Nie ma sprawy.

Dziewczyna wyskoczyła z samochodu i z bronią gotową do strzału podbiegła do dyspozytorni.

Amerikanin wolno pojechał wzdłuż szeregu niewielkich samolotów. Były wśród nich Migi, Iskry, wysłużone Dakoty, awionetki i motoszybowce. Jednak John wybrał starego Mohawka.

Nie był to wspaniały samolot, palił zbyt dużo paliwa, potrzebował dużego pasa startowego, aby oderwać się od ziemi, ale miał jedną ważną zaletę. Można nim było wylądować nawet na podrzędnej autostradzie w Ohio! [Według niektórych Amerykanów stan Ohio posiada najgorsze drogi w USA.]

Włożył wąż paliwowy do baku i uruchomił pompę.

Po przeciwnej niż wlot tunelu stronie hangaru znajdowały się trzy potężne bramy. Właśnie jedna zaczęła się uchylać...

– Zrobione! – oświadczyła zdyszczanym głosem Natalia, podbiegając do Rourke'a. – Lecimy tym gruchotem?

– A umiesz pilotować Miga? Nie? To pomóż załadować na pokład naszą zdobycz.

W kilka minut załadowali do Mohawka komory, sprzęt konieczny do ich funkcjonowania, komputery obsługujące procesy hibernacyjne oraz jedyną ocalałą butlę surowicy. Cztery pozostałe stłukły się!

Zbiorniki były pełne. Amerikanin odłączył pompę i siadł za pulpitem sterowniczym. Odblokował wszystkie systemy, włączył silniki, pchnął drążek sterowniczy...

Samolot wibrował jak oszalały, nie ruszając się jednak z miejsca.

– Co jest, do cholery?!

– Może nie umiem pilotować miga, ale wiem, że przed startem trzeba wyciągnąć kliny spod kół – oświadczyła Natalia z niewinnym uśmiechem.

– Czemu mi nie powiedziałaś wcześniej?

– Sądziłam, że taki waśniak jak ty będzie to wiedział! Odblokowali koła i ruszyli w stronę rozgwieżdżonego nieba, widniejącego w otwartej bramie.

Powoli wytoczyli się z hangaru...

Rourke był pewny, że jak tylko wyjadą na zewnątrz, gwardziści otworzą ogień. Lecz za bramą przywitała ich cisza i całkowita ciemność.

– Coś się szykuje – szepnął dziewczynie. – Bądź czujna.

W tej samej chwili rozbłyły reflektory i ujrzał zbliżających się gwardzistów. Kilkadziesiąt jardów przed nim na pasie startowym stała zaporą utworzona z kilkunastu jeepów uzbrojonych w karabiny maszynowe.

– Mówi Roźdiestwieński – zachrypiął głośnik w kabinie samolotu. – Jesteście otoczeni. Nie wymkniecie się! Jeżeli zniszczycie waszą surowicę, będziecie umierać tygodniami w straszliwych męczarniach. Słyszysz, doktoru?

– Co jest? – Amerykanin podłączył swój mikrofon. – Parodiujesz królika Bugsa?

– Żarty się skończyły! Ujrzysz, jak umrze Tiemierowna. Najpierw moi żołnierze będą ją gwałcić na twoich oczach, a później zedrę z niej skórę! Wyobraź sobie, kilkuset silnych mężczyzn gwałcących na różne sposoby twoją Natalię... Przemyśl to!

Rourke przerwał łączność. Rozejrzał się wokół. Mógł przejechać po ciałach gwardzistów, lecz byli tak stłoczeni wokół samolotu, że swą bezwładną masą mogliby zablokować koła. A jeśli nawet udałoby się przedrzeć przez ludzką zaporę, nie przebiłby się przez jeepy.

– Bądź gotowa do walki – powiedział zrezygnowanym tonem. – Nie mam dość miejsca, aby poderwać ten złom z ziemi.

– Roźdiestwieński zrobi to, co obiecał...

– Zanim nastąpi koniec, zastrzelę cię. Możesz być tego pewna!

– Dobrze... John – wyszeptała miękko.

– Skieruj swą broń w butlę. Jak dam ci znak, rozwal ją bez wahania!

W jednym z samochodów ujrzał wstającego wysokiego mężczyznę. Roźdiestwieński!

Może zanim gwardziści opanują samolot, uda mu się zabić tego bydlaka?

„Mimo wszystko – pomyślał – nawet umierając, stajemy się zwycięzcami! Co za paradoks!”

– Do diabła ze wszystkim, wsadzę ten cholerny samolot prosto w ich dupy! – Rourke pchnął dźwignię, ruszając z miejsca.

– Poddaj się! – zawołał przez megafon oficer KGB.

– Mam to gdzieś! – odparł doktor.

Żołnierze rozbiegli się w popłochu, lecz jeepy stały na posterunku. Strzelcy unieśli lufy karabinów i skierowali je w stronę kołującego samolotu...

Amerykanin ogluchł.

Tłum Rosjan kłębił się jak rój dzikich pszczoł.

Rozległa się najpotężniejsza eksplozja, jaką kiedykolwiek Rourke słyszał w swym życiu.

Spojrzał na ogromną kulę światła wykwitającą na końcu wysokiej suwnicy wystającej z otwartej kopuły wieńczącej szczyt.

Poniżej, na jednym z ramion suwnicy, powiewała wielka flaga Stanów Zjednoczonych. Na jej tle widniała maleńka ludzka postać...

Docisnął dźwignię, dodając gazu. Jeepy zjechały z pasa, uciekając w stronę gór. Pozostał jedynie samochód pułkownika, który wyminęli bez trudu.

Ziemia uciekła spod kół samolotu i ulecieli w górę.

– To jak wybuch atomowy, dlatego tak uciekają! – powiedział, spoglądając na szczyt Czejena ukoronowany ognistą aureolą.

Przez chwilę zdawało mu się, że człowiek trzymający gwiazdzisty sztandar miał siwe, długie włosy... tak jak Reed... ale szybko o tym zapomniał.

- Nie poczułam żadnej radiacji.
 - Zdążyliśmy uciec przed promieniowaniem, moja droga.
 - Udało nam się – wyszeptała uszczęśliwiona, biorąc na kolana butlę z surowicą.
 - On pójdzie za nami – ponuro oświadczył Rourke, spoglądając na malejącą w dole postać pułkownika. – Będzie próbował odnaleźć Schron, zobaczysz!
- Do świtu pozostawało coraz mniej czasu, a mógł to być ostatni świt dla świata i ludzkości...

Rozdział LXXI

Pułkownik Roźdiestwieński patrzył osłupiały, jak wali się w gruzy dzieło jego życia. Surowica gazu narkotycznego została skradziona, schron rozhermetyzowany, laser zniszczony... Nic już mu nie pozostało. Nic, z wyjątkiem zemsty...!

– Towarzyszu pułkowniku, promieniowanie! – zawołał jeden z oficerów KGB, kapitan Andreki.
– Musimy uciekać, zanim nie utworzy się radioaktywna chmura i nie rozejdzie się w powietrzu...

– Zabiję go, a później umrę. Lecz najpierw go zabiję! To wszystko sprawka doktora Rourke'a. Niech wszystkie urządzenia radarowe, jakie ocalały, ustalą trasę jego przelotu. Zapewne poleciał gdzieś do południowo-wschodniej Georgii, w góry. Musimy je przeszukać jeszcze tej nocy. Musimy znaleźć jego schron, zabić Rourke'a, jego rodzinę, Tiemierownę... Musimy odnieść ostateczne zwycięstwo... Musimy odnieść zwycięstwo...

Kapitan Andreki wprowadził półprzytomnego dowódcę do jeepa, usiadł za kierownicą i odjechał z lotniska.

Jak najdalej od bazy, która przestała już być bezpiecznym schronieniem, a stała się śmiertelną radioaktywną pułapką.

Rozdział LXXII

Jekaterina podeszła do generała Warakowa.

– Moskwa... Moskwy już nie ma. Radio umilkło. Operator zdążył powiedzieć jeszcze „ogień” i wszystko ucichło. W radiu nie słycać nawet szmerów i trzasków...

– Wystarczy, dziecko, wystarczy. Więc się zaczęło! Mamy ostatnią noc, podczas której możemy powiedzieć sobie wszystko, co byśmy tylko pragnęli.

Generał uśmiechnął się i biorąc dziewczynę delikatnie za rękę, zaprowadził do wielkiej sali, pod figury swych ulubionych mastodontów. Usiadł na postumencie.

Bolały go stopy, z trudem mógł już stać. Zamyślił się nad swym życiem.

Kiedy był małym chłopcem, wszystko w starej Rosji chyliło się ku upadkowi. Japończycy rozbijali armie imperium, a batuszka-car wolał bawić się na wystawnych przyjęciach i grać w tenisa niż troszczyć się o swój głodujący lud. Później nadeszła wielka wojna, która miała być kresem wszystkich wojen, a Lenin przejął władzę. Doskonale pamięta te przerażające lata terroru... I Wielką Wojnę Ojczyźnianą, podczas której odznaczył się wielokrotnie odwagą i zasłużył na oficerskie szlify.

– Jesteś śliczną dziewczyną, Jekaterino – powiedział cicho. – Wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego uczyniłaś mi taki zaszczyt i pokochałaś tak starego człowieka jak ja. Usiądź obok mnie i opowiedz o swoim dzieciństwie.

– To nieciekawa historia, generale, zwykłe, nudne dzieciństwo...

– Tak bardzo się mylisz, Jekaterino. – Przytulił ją do siebie, gładząc długie złociste włosy dziewczyny.

Rozdział LXXIII

Gładko wylądowali na dwupasmówce i skołowali na pole.

Nie opodal rosła kępa drzew, wśród których stał schowany Harley Johna.

Amerykanin wysłał Natalię, aby powiadomiła Sarah i Paula o ich przybyciu, a sam zabrał się za wylądowanie cennego ładunku. Zajął mu to najwyżej dwadzieścia minut. Przysiadł na pokrywie jednej z kapsuł narkotycznych.

Zapewne nad oceanem wschodziło już słońce... Rourke czuł, że zbliża się ostatni dzień Ziemi. A on prawie wykonał swój plan!

Z oddali doleciał narastający znajomy warkot forda pickupa. Zastanawiał się, czy Natalia opowiedziała Sarah, dzieciom i Paulowi o zbliżającej się zagładzie. Czy przekazała historię Reeda, wiadomość o śmierci obojga Rubensteinów...

Wątpił w to. Mimo wszystko ten obowiązek spoczywał na nim! Mógł wymknąć się każdemu przeciwnikowi, lecz nie temu, którego nazwano „odpowiedzialnością”. Przymknął oczy, zastanawiając się, jak ma zacząć...

Rozdział LXXIV

Duża część miasta przeszła w ręce bojowników z ruchu oporu. Na ulicach walczyli partyzanci wspólnie z uwolnionymi żołnierzami. W Chicago stacjonowały jeszcze liczne jednostki wojsk radzieckich, jednak Tom Mause uznał, że osiągnął swój cel i zakończył misję.

Rozsiadł się wygodnie w zdobyczej policyjnej furgonetce, opierając o siedzenie ranną nogę.

Przez uchylone drzwi ujrzał zmierzającego w jego kierunku Stanonika, trzymającego coś pod pachą.

– Cześć, Tommy, jak się czujesz?

– Lepiej. Co tam przytaszczyłeś?

– Przypominasz sobie, że obiecałem sprzedać twoją przypieczoną dupę za piwo? Niedługo będzie już za późno, więc teraz przynoszę zapłatę. Mam kilka zmrożonych butelek.

– Do licha! Skąd je wytrzasnąłeś?

– Zabrałem z odwachu KGB. Mają niezłe zaopatrzoną chłodnię.

Marty wskoczył do furgonetki, otworzył jedną z oszronionych butelek i podał Mause'owi. Ten pociągnął spory łyk piwa, mlasnął i zapytał:

– Co tam sływać?

– Nic ważnego... – Co?

Stanonik niefrasobliwie podrapał się po głowie.

– Powiesz wreszcie, czy nie?

– Spotkałem faceta, który miał radio i utrzymywał kontakt z jednym operatorem z Grenlandii. Ten eskimoski radioamator opowiedział naszemu facetowi, że europejskie stacje ucichły, a po chwili dodał, że całe niebo stanęło w ogniu. To wszystko. Cholera! – Stanonik smętnie zajrzał do pustej butelki. – Już wypilem.

Patrząc przez ciemne szkło butelki jak przez lunetę, rozejrzał się wokół. – Marty, tu jestem!

– Nie sądzisz, że znaleźlibyśmy jeszcze parę piwek, gdybyśmy dobrze poszukali? Odwaliliśmy już naszą robotę.

– To dobry pomysł. Pomożesz mi się tam dostać? Obawiam się, że jak pójdziesz sam, to już nie wrócisz przed rankiem...

Roześmiali się.

– Dobra, Tommy, oprzyj się na moim ramieniu. Mamy przed sobą całą noc do rozmowy i picia.

– Tak, zwłaszcza do picia! Ruszyli w kierunku wartowni KGB.

Rozdział LXXV

Samuel Chambers stał na skraju poboju, przyglądając się setkom płonących wraków i tysiącom poległych. Obok stał porucznik Fletcher, a za ich plecami dowódca Ochotniczej Milicji Teksaskiej. U ich stóp leżała rozbita Armia Czerwona.

– Wygraliśmy, panie prezydencie! – oświadczył zachwycony Fletcher.

– Mój radiotelegrafista przez całą noc odbiera dziwne sygnały...

– Słucham, panie prezydencie?

Chambers popatrzył na porucznika. Nie miał serca wyjawić mu całej prawdy, młody człowiek był taki szczęśliwy z powodu odniesionego zwycięstwa.

– Może któryś dzień przyniesie nam pokój...

– Chce pan powiedzieć, że damy im potężnego kopa, wypędzimy do Rosji i znów odzyskamy Amerykę?

– Jestem pewien, poruczniku, że jutrzejszego ranka skończą się nasze wszystkie kłopoty.

– Mamy jakąś nową broń? Prezydent zapalił papierosa.

– Nie, synu, nie mamy żadnej nowej broni. Przekonasz się, że w zupełności wystarczy stara broń, starsza niż ludzkość...

– Tak???

– Siły natury. – Zaciągnął się papierosem, z przyjemnością wdychając dym. Ile jeszcze zdąży ich wypalić, zanim nadejdzie koniec? – Widzisz, synku, wiele się wydarzyło w ostatnich latach. Uszkodziliśmy naszą atmosferę, teraz powietrze pali się niczym suche drewno. Widziałeś przecież smugi ognia wysoko na niebie... Kiedy wstanie słońce, spłonie cała atmosfera, a my wraz z nią. Niestety w żaden sposób nie można powstrzymać nadciągającego kataklizmu. Mam całą paczkę papierosów, jak chcesz, możesz się do mnie przyłączyć, wypalimy je wspólnie, a ja wyjaśnię ci naukowe szczegóły tego zjawiska. Albo możesz się pomodlić. Rób co chcesz, twoja służba się skończyła, poruczniku...

Fletcher opuścił głowę. Milczał. Milczeli i inni przysłuchujący się słowom Chambersa. Gdzieś w mroku rozległ się strzał, ktoś wolał roztrzaskać sobie mózg kulą niż doczekać wschodu...

Prezydent ruszył do niewielkiego namiotu, który na ostatnie godziny nocy miał się stać jego kwaterą.

Fletcher klęknął na rozmiękłą od krwi ziemię i zrobił znak krzyża.

Rozdział LXXVI

Można powiedzieć, że dobrali się jak w korcu maku. Natalia posiadała ogromną wiedzę o komputerach i elektronice, Paul miał spore doświadczenie w naprawianiu różnorodnych urządzeń elektrycznych, a Rourke znał się na biologii i medycynie. Mieli ogromną szansę na przetrwanie wielowiekowej hibernacji i rozpoczęcie nowego życia w przyszłym świecie.

Podczas gdy jego przyjaciele podłączali komory do urządzeń wspomagających i komputerów, John sprawdził magazyn broni, generator, turbinę wodną, zakonserwowane pojazdy. Wszystko było w należytym porządku. Przez pięćset lat nie powinno zabraknąć im dopływu energii.

Główne wejście do Schronu zostało już hermetycznie zamknięte, awaryjne także należycie zabezpieczono.

Nie mając już nic więcej do roboty, Rourke zasiadł przed monitorami podłączonymi do umieszczonych na zewnątrz kamer wideo i obserwował okolicę, chcąc jak najwięcej zapamiętać ze świata czekającego na zagładę.

Do świtu pozostało niewiele czasu, kiedy zauważył jadący drogą zmechanizowany oddział KGB, a na innym ekranie wolno lecące helikoptery.

Ludzie Roźdiestwieńskiego szukali kryjówki Amerykanina, by ją zniszczyć!

Jednak nie mieli dość czasu, aby tego dokonać. John już wiedział, że nadciąga potężna fala ognia. Złapał w radiu głos jakiegoś operatora z Grenlandii, wołającego, że płomienie zniszczyły Europę, Anglię, Islandię... aż i on zamilkł.

Na innej fali radiostacja Stanów Zjednoczonych II bez przerwy odczytywała oświadczenie prezydenta Chambersa o wielkim zwycięstwie nad wojskami Związku Radzieckiego, odniesionym na polach zachodniego Teksasu. Tiemierowna nie okazała żadnych emocji, słysząc o pogromie swych rodaków.

„Zwycięstwo... – pomyślał doktor. – Jak obco brzmi to słowo w takiej chwili...”

– John, komory przygotowane! – zawołał z głębi wielkiej pieczary Paul.

– Dobra, stary, pomóż teraz Natalii przy zastrzykach.

– Ja także tu jestem – przypomniała Sarah, wychodząc z bocznego korytarza. – Ja jej pomogę.

– Dobrze – zgodził się John.

Spojrzał na monitory. Niebo nadal było niesamowicie czarne, lecz pojawiły się na nim emanujące światłem obłoki, z których zaczęły opadać ku ziemi błyszczące ogromne kule.

– John, strzykawki gotowe!

– Nie pozostało nam wiele czasu. Sądząc po znakach, zaczął się już efekt jonizacji.

Mieszkańcy Schronu zebrali się przy otwartych kapsułach narkotycznych.

– Zanim sam się położę, dam każdemu zastrzyk i raz jeszcze posprawdzam, czy wszystkie wejścia są właściwie zamknięte – oświadczył Rourke.

Popatrzył na szklane strzykawki, w których połyskiwał ciemnozielony płyn. Wziął jedną, na której napisano imię „Michael”.

– Nie sądzisz – zwrócił się do Tiemierownej – że dałaś zbyt mało surowicy?

– W instrukcji podano dawkę dla osobników o wadze powyżej dziewięćdziesiąt funtów. Michael ma sześćdziesiąt dwa, więc musiałam zmienić proporcje płynu. Tyle powinno mu wystarczyć.

Doktor skinął głową.

– Michael, pocałuj matkę i przyjdź do mnie.

Natalia zbliżyła się do niego i wyjęła z jego ręki strzykawkę.

– Ja dam zastrzyk twojemu synowi. Jeżeli coś się stanie, nie będzie to twoja wina, John.

Rourke chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Chłopiec zbliżył się do nich.

– Może pięćset lat wydaje ci się, synu, przerażająco długim czasem, ale przez wszystkie te lata będziesz jedynie spał...

– Czy będę dużo śnił, tatusiu?

Doktor upadł na kolana przed chłopcem i przytulił go do siebie.

Czuł, jak drży drobne ciało Michaela. Natalia zdecydowanym ruchem wbiła igłę w ramię dziecka i wcisnęła tłoczek.

Malec natychmiast usnął. Rourke podniósł jego bezwładne ciało i włożył delikatnie do komory.

– Ma bardzo wolny oddech... – szepnęła.

– Bo śpi – stwierdziła Sarah. Podbiegła do nich Annie.

– Czy z Michaelem wszystko w porządku? Mężczyzna popatrzył ze smutkiem na córkę.

– Tak, z Michaelem wszystko w porządku...

Dzieci leżały w zamkniętych komorach, ich nieruchome twarze jaśniały niebieskawą poświatą, ciała spowijały kłęby gazu.

Na zewnątrz rozpoczął się przerażający spektakl. Żołnierze przeczesujący górskie stoki uciekli w popłochu, szukając bezpiecznego schronienia, lecz dla nich żadnego schronienia już nie było. Świetliste kule zjonizowanego gazu podskakiwały na kamieniach jak wielkie piłki, toczyły się po zboczach. Ludzie, których dosięgły, wysychali w mgnieniu oka, ich gałki oczne wychodziły na wierzch i pękały, ciało czerniało jak zwęglone drewno... Powietrze przecinały niezliczone błyskawice, strącając w dół śmigłowce. Pozostały zaledwie trzy helikoptery.

– Wolę już leżeć w swojej komorze niż oglądać ten horror – oświadczył Paul, ciężko wzdychając.

– W porządku stary, odpręż się – uspokajał go Rourke, biorąc ze stołu strzykawkę.

Natalia ucałowała Rubensteina. Uśmiechnął się i usiadł na krawędzi kapsuły.

– Będzie wam łatwiej włożyć mnie do środka. No, dawaj ten szpikulec.

– Wiesz Paul, nigdy nie żałowałem, że nie miałem brata, bo ty mi go zastępowałeś...

– Kocham cię, John. Kocham was wszystkich – powiedział Rubenstein i podwinął rękaw.

– Może powinieneś ściągnąć buty? – zapytała Tiemierowna. – Chyba nie chcesz, by krew źle krążyła w twym ciele. Może wszyscy powinniśmy być nadzy?

– Nie ma dla mnie różnicy, czy obudzę się ze zdrętwiałymi stopami czy nie, najważniejsze, że będziemy żyli. Nie obrazisz się, John, że odwrócę głowę? Wiesz, jak nie cierpię zastrzyków.

– Dobra, rób jak chcesz.

Rourke sprawnie wstrzyknął porcję surowicy w żyłę przyjaciela i ułożywszy go w komorze, ściągnął z nóg skórzane buty.

– Po co mają mu nogi cierpnąć – mruknął.

Pozostali we trójkę. On i jego dwie kobiety. Musiał rozstrzygnąć ten uczuciowy problem, ale czekało go to za pięćset lat.

Sarah poszła w inny kąt pieczary przypatrzeć się swoim śpiącym dzieciom.

– Czy mamy duże szansę na przetrwanie? – zapytała Natalia.

– Granitowa skała, w której się znajdujemy, nie przewodzi elektryczności, a płonące powietrze nie przedostanie się przez śluzy do wnętrza Schronu. Zresztą tlen nam nie będzie potrzebny, bo podczas snu będziemy oddychać gazem narkotycznym. Podziemny strumień powinien zasilać generator, więc prądu nam nie zabraknie. Sadzonki w inspektach rozrosną się z czasem i odświeżą powietrze przez lata naszego snu.

– A projekt „Eden”...?

– Jeżeli promów nie zniszczą meteory, nie wyczerpią się ich baterie elektryczne, nie zmieni się kurs obrany przez pokładowe komputery, to powinni wrócić wkrótce po naszym przebudzeniu.

– Czuję się tak jakoś... jak nierządnicą... – wyznała Rosjanka, patrząc na Sarah.

– Nie ma powodów.

– Co się stanie po naszym przebudzeniu?

– Nie martw się o to. Jestem szczęśliwy, że jesteś tu ze mną.

– Dasz mi teraz zastrzyk, czy najpierw wolisz go zrobić swej żonie?

– Śpij! – Pocałował ją czule w usta. Zamknęła oczy i szepnęła:

– Kocham cię!

Podprowadził ją do komory, wbił igłę i ułożył do snu. Przy boku Rourke'a pojawiła się Sarah.

– Jeszcze nie zdążyłam ci podziękować za to, że nas odnalazłeś i zabrałeś do tego miejsca – uśmiechnęła się dziwnie. – Powinniśmy mieć tyle wolnego czasu, aby porozmawiać o naszych dzieciach... Ale teraz lepiej się pospiesz.

Wziął ją w ramiona.

– Co zamierzasz z nami zrobić? – zapytała kobieta, całując męża. Westchnął ciężko.

– Zaufasz mi raz jeszcze?

– Kocham cię, John, i wiem, że ty mnie kochasz. Jednak nie powinniśmy się nigdy wiązać ze sobą.

Położyła się w swej kapsule narkotycznej, zagłębiając się w niebieskawych oparach.

– Wolę dostać zastrzyk pod gazem. Tak będzie o wiele przyjemniej...

– Wiem – szepnął. – Do zobaczenia za pięćset lat, Sarah...

Rozdział LXXVII

Przeszedł wzdłuż komór, przyglądając się uśpionym ludziom, których tak bardzo kochał.

Spojrzał na monitory. Tylko trzy działały, dwie kamery wideo zostały uszkodzone... Na zewnątrz pozostały dwa śmigłowce i kilku gwardzistów. Naładowane kule zjonizowanych gazów doskakiwały do ich ciał, a oni ginęli porażeni prądem.

Rourke pomyślał o swym przyjacielu, pułkowniku Reedzie i o tym, co ten uczynił.

– Powiniennem być ci za to wdzięczny do końca życia, stary – szepnął.

Musiał tak jak i on pokazać Rosjanom, dlaczego przegrali! Musiał!

Wyciągnął z szafki zawinięty w folię sztandar Stanów Zjednoczonych, przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia i po wbitych w skałę klamrach zaczął wspinać się do widniejącego w górze komina. Dotarł do stalowego włazu, otworzył go z trudem, wspiał się wyżej i zatrzasnął za sobą. Nie chciał pozostawiać otwartego schronu, przede wszystkim liczyło się bezpieczeństwo jego mieszkańców.

Piął się po kominie w górę, przechodząc jeszcze przez dwa hermetycznie zamykane włazy. Tunel zmienił nachylenie na bardziej poziome i teraz John mógł iść na własnych nogach. Otworzył ostatnie drzwi i znalazł się na zewnątrz schronu.

Niebo wiszące nad jego głową rozjarzone było tysiącami błyskawic, nad horyzontem błyszcząły wielkie fosforyzujące obłoki, z góry, niczym płatki śniegu, opadały kule zjonizowanych gazów.

Rourke zbliżył się do anteny radiowej przyczepionej do pnia niewielkiej sosenki. Odwinął flagę. Po metalowym maszcie przeskakiwały złocisto-czerwone iskry, ale bez obaw dotknął anteny. Skórzane rękawice dostatecznie chroniły jego dłonie. Zawiesił gwiaździsty sztandar, który załopotał na wietrze.

Zasalutował i spojrzał w głąb doliny. Ziemia drżała od wyładowań atmosferycznych, grzmoty gromów zwały się w jeden przeciągły huk... Ognisty piorun trafił w radziecki śmigłowiec, strącając go na ziemię.

Pilot ostatniego helikoptera musiał dostrzec wywieszoną flagę i skierował maszynę w jej stronę. Odpalił rakiety.

Pociski eksplodowały dziesięć jardów od masztu radiowego. Podmuch cisnął Amerykaninem o ziemię, ogłuszając go lekko.

Z trudem usiłował powstać... Nad nim nadal dumnie łopotała flaga Stanów Zjednoczonych. Śmigłowiec zbliżał się, otwierając ogień z dział pokładowych. Kule rozorały ziemię o kilka cali od głowy leżącego mężczyzny.

– Neeee! – zawył Rourke.

To nie radziecki helikopter przeraził go tak bardzo... Na wschodzie, znad widnokregu wyłonił się

złocisty rąbek I natychmiast całe niebo przybrało krwistą barwę. Starożytny bóg – Słońce, Helios, Kotal, Amon, zmienił się w boga zagłady!

Po ziemi przetoczyła się niewyobrażalnie potężna fala ognia, niszcząc wszystko. Za sterami helikoptera siedział Roźdiestwieński. Więc go odnalazł!

Kule zagwizdały mu koło uszu, odprysk skalny zranił w ramię. John uniósł swój pistolet i strzelił.

– Boże, chroń Amerykę! – zawołał, widząc, jak ciało pułkownika zadrgało w konwulsjach, a śmigłowiec zmienił gwałtownie kurs, opadając ku zachodniemu zbocz.

Doktor poderwał się na nogi i pobiegł do Schronu. Płomienie sięgnęły podnóża góry... Wskoczył do tunelu, zamykając za sobą włącz. Poczł, jak skała nagrzewa się gwałtownie. Na zewnątrz nic już nie pozostało... Wyjałowiona ziemia, wypalone powietrze...

Rozdział LXXIX

Generał Izmael Warakow stał wyprostowany obok postaci mastodontów, troskliwie otaczając ramieniem drżące ciało Jekateriny.

Czekał na swe przeznaczenie. Pomyślał o swojej uroczej Natalii. Myślał o stojącej obok dziewczynie, którą pokochał i która jego kochała. Pomyślał o Bogu...

Słyszał dobiegające z zewnątrz muzeum grzmoty, przez okna mógł ujrzeć niepokojące lśnienie nieba.

Uśmiechnął się do swoich myśli.

Odnalazł miłość, zachował honor, odkrył prawdę. Przeżył wiele lat, niektóre były dobre, inne złe, ale nie żałował ani jednego dnia!

Przycisnął mocniej Jekaterinę. Ujrzał falę ognia wpadającą do gmachu przez otwartą bramę. Nawet nie jęknął, kiedy ogarnęły go płomienie...